

Tytuł: "Sześć odcieni bieli"  
Autor: Hanna Krall

CZYTELNIK • Warszawa 1978

HANNA KRALL sześć odcieni bieli

Okładkę i kartę tytułową projektował ZBIGNIEW CZARNECKI  
TEMATY DO REPORTAŻU

Copyright by Hanna Krall, Warszawa 1978.

Panie inżynierze, mówię (jak również - panie dysponencie, panie mistrzu itd.), potrzebuję czegoś ciekawego do reportażu. Zadania wykonujemy rytmicznie mimo urlopów - odpowiada Inżynier. To wiem, oglądam dziennik przecież. Macie też napoi chłodzących pod dostatkiem. Czy to jest właśnie to, o czym pan sam chciałby sobie poczytać?

Inżynier: człowiek jako gatunek ludzki lubi poczytać o miłości. Czy to Joyce, czy Camus, czy nasz Żeromski choćby - zawsze trochę tego seksu musi być. Próbowano (ciągnie Inżynier) zerwać z tym i pisać o pracy, ale to jednak takie ciekawe już nie było. Więc gdyby się pani udało połączyć razem i pracę, i ten seks, to wyszedłby może reportaż.

Temat proponowany przez Inżyniera: Ostatnie słowo w dziedzinie erotyki  
On mógłby być magistrem, a ona wydawcą narzędzi, zaszeregowaną jako pracownik fizyczny. Oboje pracowaliby na jednym wydziale, z tym że on by miał żonę i dziecko, a my musimy stać na straży interesów rodziny.  
To prawda, że on powinien bezkonfliktowo wyprowadzić całe zagadnienie, ale żona to zaczajałaby się przy bramie za kioskiem, to znów szłaby na skar-

gę do związku i w końcu cały wydział dowiedziałby się o tej miłości.

Trzeba od razu powiedzieć, że załoga byłaby pc stronie żony.

Jak żona chodzi na skargę do czynnika społecznego, to jest w porządku; jak magister romansuje z wydawcą narzędzi, zasługuje na potępienie.

Tę społeczną różnicę między magistrem a wydawcą narzędzi, zaszeregowaną jako pracownik fizyczny, trzeba by uwypuklić, bo nie jest wykluczone, że gdyby oboje byli magistrami albo oboje wydawcami narzędzi, to nie wzburzyliby opinii aż tak bardzo i opinia ta znacznie mniej gorliwie stałaby na straży rodginy.

Może dlatego właśnie, gdy do kierownika przyszedł czynnik społeczny z żądaniem: "trzeba to w końcu przeciąć" - to kierownik odpowiedział: "a czy to źle, że klasa robotnicza nabiera u nas znaczenia także i w życiu prywatnym? Czyż nie o to w naszym społeczeństwie nam chodzi?"

W tej sytuacji czynnik musiałby sam poprosić magistra do pokoju związkowego na rozmowę i ta rozmowa wyglądałaby mniej więcej tak: "Czy nie robiłem w terminie wszystkich analiz?" - zapytałby magister, a czynnik musiałby przyznać, że analizy były robione na czas, i do tego bezbłędnie. "A czy może ona nie miała porządku w narzędziach?" I czynnik znów musiałby się z magistrem całkowicie zgodzić. "A reszta to już jest moja sprawa" - zakończyłby magister, więc czynnik nie mógłby zrobić nic więcej, niż ograniczyć się do ogólnej rady ("przemysłcie to sobie spokojnie jeszcze raz"), rozumiał bowiem nie gorzej od kierownika, że znaleźć drugiego takiego fachowca jak magister byłoby w ich mieście rzeczywiście trudno.

Od tej chwili i kierownik, i aktyw społeczny mo-

gliby już innym okiem popatrzeć na całą sprawę, a popatrzawszy - zauważyliby parę rzeczy, których jakoś nie dostrzegali dotąd. Że na przykład ona jest bardzo wcięta w talii. Że ma ładne nogi, zwłaszcza latem, jak je opali sobie, i tak

jakoś prościutko się zawsze trzyma. I że dla mężczyzny po czterdziestce taka wydawczyni narzędzi to rzeczywiście może być spora pociecha. Kiedy więc magister przyjdzie do kierownika (a kierownik pierwszy zaczął uprzejmie jej się kłaniać, czy to żeby dać przykład załodze, czy może sam to jakoś podświadomie zaaprobował), kiedy więc magister zgłosi się w sprawie mieszkania - bo jeszcze i do tego dojdzie! - kierownik pomyśli sobie: "ho, ho, popatrzcie w jakiej jest formie teraz". I ograniczy się już tylko do pytania czy może rady raczej: "To już będzie pana ostatnie słowo w dziedzinie erotyki, panie magistrze?", co nie zabrzmi wcale zgryźliwie ani zawistnie, tylko po prostu rzeczowo, bo każdy wie, jak wygląda u nich sytuacja z mieszkaniami.

Temat aktywisty młodzieżowego: Wytop

Reportaż zacząłby się w momencie, gdy aktywistę wzywają do Zarządu i mówią - słuchaj, Pietrek, poważna sprawa, chodzi o wytop.

Następnego dnia aktywista przychodzi do pracy przed szóstą, organizuje młodzieżową brygadę, a o dziesiątej odlewają sześćdziesiąt pięć ton stali, o czym zawiadamiają natychmiast w meldunku, dodając, że wytop trwał trzy godziny dwadzieścia minut (podczas gdy średni czas wytopu w ich hucie trwa cztery godziny).

To byłby zasadniczy zarys tematu, z tym że moż-

na by wykorzystać fragmenty artykułu Aktywisty, zamieszczonego w zakładowej gazecie, w którym przedstawia on szczegółowo, minuta po minucie nieomal, przebieg zdarzenia.

"Godzina 6.45... Pierwszy wytapiacz załączył piec. Rozpoczynamy pracę.

Zaplanowany gatunek stali 36HNM...

Wśród załogi panuje lekkie podniecenie, chcemy osiągnąć zamierzony cel, chcemy, by wytop ten był nie tylko udany, pragniemy osiągnąć najkrótszy czas.

Godz. 8.13, wysyłamy próbę «0» do laboratorium. Następują teraz minuty oczekiwania na wynik analizy. Oby był pozytywny. Z niecierpliwością spoglądamy na białą taśmę papieru w dalekopisie.

Są wyniki. Podrywamy się do dalszej pracy. Pierwszy wytapiacz pobiera z pieca «1» próbę, zostaje wysłana pocztą pneumatyczną do laboratorium. Kolejne minuty oczekiwania. Czcionka w dalekopisie zaczyna wybijać równiutki szereg cyferek na białej taśmie papieru...

Temperatura przy piecu wysoka, zasycha w gardle. Nie poddajemy się, mając na celu tak szlachetne zobowiązanie stajemy na wysokości zadania... Do laboratorium lecą kolejne próby.

Godz. 10.00, rynną pieca w asyście tysięcy iskier płynie stal. Twarze wszystkich rozpromienione. Mimo zmęczenia wszyscy uśmiechnięci..."

I w tym miejscu można by reportaż, proponowany przez Aktywistę, zakończyć, uzupełniając go jedynie sylwetką samego bohatera: nie dość, że po pracy podnosi swoje kwalifikacje w technikum, to jeszcze pisze, maluje i działa społecznie.

Można by zakończyć, gdyby nie to, że Aktywista uznaje nagle za stosowne uzupełnić swoją relację wydrukowaną w gazecie.

- Praca na stalowni jest strasznie monotonna -

mówi na przykład. - Ładowanie-ttopienie-analizy-spust, ładowanie-topienie-analizy-spuBt.- i tak codziennie, czy to może wypełnić człowiekowi życie? Naturalnie napisać o tym w artykule nie mógł. "Człowieku - powiedzieliby mi - i to ma być entuzjastyczny młodzieżowy czyn?"

Następnie (chyba za długo już z tym aktywistą rozmawiam) dowiaduję się, że nie napisał o paru innych sprawach. Okazało się bowiem, że planowanej w owym wytopie stali 36HNM walcownia nie może przyjąć i że należy zmienić gatunek. Zmiana gatunku - to się zdarza, trzeba dodać składniki, sprawdzić próby, trwa to jeszcze dziesięć, jeszcze piętnaście minut, czasem, jeśli się nie utrafi od razu - godzinę. Tylko że im chodziło przecież o czas.

Posłali analizy ("z niecierpliwością spoglądamy na białą taśmę papieru" - napisał w gazecie) - niestety, wynik był niedobry. Dodali składnik, posłali znów ("czcionka w dalekopisie zaczyna wybijać równiutki szereg cyfr..."), znowu skład nie trafiony. "To już było denerwujące" - mówi Aktywista. Trzykrotnie podejmowali próbę - trzykrotnie wynik był zły i wtedy zrobili to, co - jak uznali - pozostaje im zrobić. Powiedzieli mistrzowi, że już w porządku, gatunek okej, można kończyć. Dosłownie w ostatniej chwili mistrz się zorientował, zaczął się szum, ale już nie było odwrotu, walcownia musiała przyjąć wytop (sam kierownik pieców interweniował), za to punktualnie o dziesiątej mogli wysłać swój meldunek, a Aktywista wołał do mikrofonu przekrzykując szum pieca, że oto jest dziesiąta zero zero, wytop ukończyliśmy, oddaliśmy sześćdziesiąt pięć ton - "to był taki spontaniczny krzyk, bo naprawdę bardzo cieszyliśmy się, żeśmy się wywiązali i żeśmy dali tę stal ponadplanową".

8

Stal nie zmarnowała się. Była to szlachetna stal, nie są załadowane, to się wydaje dyspozycje, żeby bardzo poszukiwany gatunek, tyle że w tym momen- załadować, a jak załadowane, to się dzwoni i oddział cię sprawiła pewien kłopot walcowni. wsadu je odbiera. Można było oczywiście nie rezygnować z prób Kursują dwa zestawy - ze stalowni przychodzi i dać trafiony wytop, tyle że później o godzinę - zestaw pusty, a od nich odchodzi z ładunkiem, i tak ale im tak bardzo zależało na czasie i żeby w mel- na przemian, dunku... Można by następnie napisać, że jej koleżanki i ko- Można było napisać o tych przygodach w zakła- ledzy, a także ich mężowie i żony, też są pracowni- dowej gazecie, dodałoby to nawet dramatyzmu re- karni naukowymi i wszyscy albo już zrobili dokto- lacji - ale przecież nie o kłopotach miał to być raty, albo je właśnie robią, kiedy się więc spotkają tekst, tylko o młodzieżowym wytopie. w towarzystwie, to o niczym innym się nie mówi. To można było napisać później inny artykuł i na- A on mógłby mówić, ile dziś wywieźli dolomitu, wet Aktywista miał zamiar tak uczynić - ale gazeta tylko kogo zainteresuje taki temat? ukazuje się co miesiąc, więc jaki to już właściwie Żona jest bardzo dobra dla niego, ale nie obchodzi miałyby sens? ją żadna ze spraw, o których on potrafi rozmawiać No i można jeszcze było nie opowiadać reporterowi godzinami: ani motoryzacja, ani sport, a ściślej piłka o tym wszystkim. Poprzestalibyśmy wtedy na wersji nożna, pierwotnej: młodzieżowego wytopu, prowadzonego Mają dwoje dzieci. przez Aktywistę, który nie dość że uczy się, to jesz- Kiedy dzieci były małe \_ wspólnie niepokoił się, \_ cze pisze, maluje i udziela się społecznie. gdy któreś chorowało albo tylko zdawało im się, że Hest chore, mówili sobie "i co mu może być, przecież Temat dysponenta- niegłodne i suche, a w książce piszą, że nie powinno ' l płakać bez powodu". Życie rodzinne I \_ , j leraz dzieci są większe i on przyprowdza je

Mógłby w takim reportażu wystąpić dysponent z przedszkola, potem karmi, kąpie i kładzie spać, magazynu materiałów sypkich oraz jego żona, - która dzięki czemu ona może całkowicie poświęcić się robi doktorat. [swojej pracy, której wagę on doskonale rozumie, On dostarcza materiały niestopowe, a ona jest choć, jak się właśnie okazuje, nie zna jej tematu, starszą asystentką w instytucie naukowym, z tym To go samego zastanawia przez moment: rzeczy- że materiały niestopowe są to: dolomit, fluoryt, wap- wiście, nie zna tematu jej pracy doktorskiej. Po no, kamień wapienny itd., zaś dostarczanie ich jest przedni znał, to było coś o wojnie światowej, ale pracą fizyczną. później temat zmieniła i <o nowym nigdy się nie zga- On siedzi w obskurnym kantorku i patrzy przez dało jakoś. brudne okienko na halę. O szóstej rano patrzy, czy Lubi czytać, ma kilka zaczętych książek, jedną - są wagony i z której strony i czy załadowane. Jeśli "Kamienną Górę", nie, nie kamienną, "Szklaną Gó-  
10 - fc  
11

re", to jest o gruźlikach, "Czarodziejską górę"? możliwe, ale jej chyba nie skończy, bo tam się za mało dzieje, a on lubi książki konkretne. ;

Szczerze powiem (mógłby ten dysponent wyznać" w reportażu): boję się dalszego ciągu.

Nie liczę na to, że coś się zdarzy, bo tu nic nie może się stać, najwyżej żona zabierze się za habili tację po doktoracie.

Dzieci pójdą do szkoły wkrótce i w pierwszej, drugiej klasie jeszcze im pomoże w lekcjach. Jeszcze w trzeciej posprawdza zeszyty - chociaż przy tych nowych programach nie jest to już takie pewne. No, a później, kiedy się okaże, że on nie jest potrzebny nawet dzieciom?

Więc tak sobie oblicza, że zostają mu jeszcze trzy, może jeszcze cztery lata. Temat jednego z szefów: '

Zasady integracji

Stalownia: najcięższy wydział w hucie. Płynna stal ma 1600 stopni, przy piecu temperatura dochodzi do osiemdziesięciu. Tu jest najgoręcej, najgłośniejszej, najduszniej, najwięcej pyłu i najsilniejsze promieniowanie. Jest jeszcze pole elektromagnetyczne, które szczególnie źle wpływa na nerwy, i nawet dyrektor musi brać tę specyfikę stalowni pod uwagę. Kiedyś zawiadomiono go, że człowiek zapomniał dodać składnika i wytopił się zmarnował, a dyrektor nawet go nie ukarał: "na stalowni to się może zdarzyć", powiedział tylko.

Specyfika stosunków międzyludzkich w stalowni mogłaby być tematem do reportażu. O te stosunki dba się zawsze - zwłaszcza na styku zmian, bo brygada piecowa musi zaczynać pracę

w pogodnym nastroju, ale także i w życiu prywatnym.

Do prywatnej integracji załogi nadają się szczególnie dwa dni. Dzień Hutnika i sylwester. Dyrektor zaprasza wtedy do świetlicy kierowników i przodujących pracowników, a po życzeniach i lampce wina można się rozbić na mniejsze grupy, po pięć, dziesięć osób, i wyruszyć na miasto na obrady w sekcjach.

Jest to przyjęte, a nawet dobrze widziane, i czynnik polityczny sam zachęca kierowników: "Józek - mówi - a poszedłbyś z nimi gdzie, tak dobrze przez cały rok pracowali..."

Idzie się więc do "Dzikiej Kaczki" czy gdziekolwiek, ale trzeba od razu powiedzieć, że taka impreza wymaga od szefa pewnego taktu i przestrzegania żelaznych zasad, których jest cztery.

Pierwsza zasada: szef powinien płacić za wszystkich, a już w każdym razie za samego siebie (dochodzi tu jeszcze jedna zasada, pomocnicza: trzeba płać demonstracyjnie, by wszyscy widzieli i by ni<sup>o</sup> mógł potem powiedzieć nikt, że się pije za cudzi pieniądze).

Druga zasada: szef nie ma prawa się upić. Trzecia zasada: szef musi później porozwozi wszystkich podwładnych do domu.

Czwarta zasada: przyjechawszy już z takim podwładnym do domu ma obowiązek zadzwonić do drzwi i wytłumaczyć żonie, z jakiej okazji się pił. Kiedy żona zobaczy, że to jest sam szef - nie b<sup>o</sup> dzie robiła na drugi dzień żadnych wymówek.

Trzeba powiedzieć, że kiedy się samemu płaci z swoich podwładnych, to nie jest to tania impreza. Po pół litra idzie na łeb co najmniej, a jeśli je: gorące danie, to i po trzy czwarte, a jeszcze jak mi

12

zyka gra i mają z kim potańczyć, to już z nich, o Boże, to już wszystko, co wypija, zaraz paruje w tańcu i potem od nowa.

Ale z drugiej strony daje to dużą satysfakcję, bo spokojnie, przy stoliku, można z człowiekiem o wszystkim porozmawiać i będzie on z większym zrozumieniem. ŻONA SZTYGARA mieniem odnosił się potem do potrzeb zakładu pracy. Akurat dwa lata temu, na sylwestra, słownie zdemoralizowano mu żonę (tak określili to później w skardze do władz), a jutro ma być ich sprawa rozwodowa, trzecia już i ostatnia.

Żonę zdemoralizował główny inżynier kopalni, De-bowski, który powiedział jej w tańcu: "Pani Dąbko-wa, przy takiej urodzie mogłaby się pani nawet i Dębowska nazywać" - i wszystko, co się zdarzyło później, było już właściwie następstwem tych słów, wypowiedzianych przez głównego inżyniera w noc sylwestrową, w sali lustrzanej najpiękniejszego domu wczasowego w całym Krościenku.

A wyglądała wtedy przepięknie.

Czarna długa spódnica, bluzka z czeskiej elastycznej koronki, dodatki złote - no i fryzura: z jednej strony trzy francuskie loki rzucone w dół, z drugiej strony trzy francuskie loki, a jak te loki tak puść: sobie, to ma je aż do pasa, samo suszenie u fryzjera trwa godzinę.

Lubił, gdy żona wracała od fryzjera albo od ko-smetyczki - nigdy jej na to nie żałował, a był wymagający przy tym. Lustrował fryzurę uważnie. Tei loczek wypuść, przykazywał, a tamten schowaj - i ona wypuszczała, i chowała, oczywiście, a kiedj nabrali jej czarnej krepki na płaszcz, krawcowa są ma prosiła go, żeby naszkicował fason. Powiedział do pasa opięty ma być, a od talii kliny. Do tego by

lis, jasny, dość drogi nawet, kupiony w Katowicach na Wieczorka.

- Kobieta jest jak choinka - mawia. - Trzeba ją ustroić, to zabłyśnie. J żona błyszczała.

Raz została królową balu, kiedy indziej przeniesiono ją na rękach od parkietu aż do stolika, inżynierowie zapraszali ją do tańca, mówili: "Ach, jak lekko pani tańczy, pani Dąbkowa" - a on promieniał. Wiedział, że błyszczy dla niego. Od balu w Krościenku wszystko zaczęło się psuć. Sztymar mówi, że ona uwierzyła w słowa głównego inżyniera. Uznała, że marnuje się, że mogłby ją spotkać lepszy los - i próbowała nawet lepszemu losowi trochę dopomóc.

Poszła do pracy. (Mówiła: "muszę być między ludźmi przecież").

Pojechała na wczasy. Sama, pierwszy raz. (Nadszedł potem list od kapitana żeglugi wielkiej. Mówiła z dumą: "widzisz, potrafię zainteresować sobą takiego człowieka").

A on cierpiał, bo wiedział, że ma rację, że jest piękna i musi błyszczeć, zaś on, sztygar, nie może zapewnić wszystkiego, co taka kobieta powinna mieć, ponieważ staje się sztygarem podupadłym.

Podupadłość jest wtedy, gdy się na kopalni człowieka nie uważa.

Po sylwestrze w Krościenku i skardze wysłanej do władz ("..czy tak ma u nas w Polsce być, że główni inżynierowie demoralizują słownie żony sztygarów?") inżynier przestał z nim rozmawiać.

Przychodził na przykład na oddział, ze wszystkimi się witał, a z nim nie.

Więc kiedy przychodzili mechanicy - przodkowy i pozaprzodkowy, którzy już wiedzieli, że główny inżynier się z nim jiiie wita, też się nie zbliżali.

\ 16

Więc kiedy przychodził nadsztygar, który wiedział, że mechanicy...

Nie byłoby to wszystko w końcu tak ważne, gdyby nie odbijało się na towarzyskiej pozycji żony I jak wreszcie do tego doszło, że na balu w Szklarskiej posadzono ich nie w głównej sali, tylko z boku i to przy drzwiach, i gdy cały czas siedzieli sami i nikt do nich nie podszedł, nawet jej, dawnej królowej, noszonej na rękach, nie poproszono do tańca - zrozumieli oboje: nie ma ona przyszłości przj nim.

Marzenie sztygara o życiu prostym, ale bardzo szczęśliwym

- Nie myślę o rzeczach niemożliwych, o takiej karierze jak inżyniera Loski, na przykład, który nie dość że ma za żonę panią Loskę, spikerkę TV (a wesele to urządzili na zamku książąt Pszczyńskich, a klucz do jednorodzinnego domku to im też dopiero wtedy dał, jak już wszystko było w środku; urządzone) - to jeszcze jest działaczem sportowyrr i jako taki jeździ za granicę.

Ja chcę mieć to, co daje życie uważanego sztygara, nie więcej.

Między zwykłym szacunkiem a uważaniem jes' duża różnica: szanuje się za robotę, ale uważa - zć pozycję. Ja pozycji nie mam, bo główny inżynier nie wita się ze mną. Ale w moich marzeniach wszystko jest oczywiście zupełnie inaczej.

Jadę, powiedzmy, do pracy - jeżeli na pierwsz; zmianę, to pociągami o piątej dziesięć, na popołud nie o dwunastej, a na noc o dwudziestej zero trzy - zaraz będzie ciasno w pociągu, ale ja wsiadam ni pierwszej stacji i zawsze koło mnie jest jeszcze miej sce. Więc tak sobie myślę: na to wolne miejsce kołi

2 - Sześć odcieni...

mnie zaraz się ktoś chętny znajdzie, czy to podwład-j ny, czy zwierzchnik, bo już jestem człowiek atrakcyjny i każdy lubi koło takiego człowieka sięść. Zaczynamy skata albo dyskusję o czymś, o wcz-' rajszy filmie w kinie "Rialto" choćby - czy ta brunetka w "El Dorado" spełniała pozytywna czy-negatywna rolę, i o Dżonie Wajnie, właściwie Łajnie wymawia się. Potem mógłbym wspomnieć, żeśmy byli z żoną na "Baronie Cygańskim" - to było dwa lata temu co prawda, ale jako człowiek atrakcyjny? dostawałbym bilety częściej... O pracę by się zahaczyło. Górnicy zapytaliby: No, jak tam w grubych sortymentach wczoraj my wypadli? A ja, ponieważ brałbym udział w odprawach i wszystko bym wiedział, mówiłbym: Jak najbardziej, wszyscy są bardzo zadowoleni z was - bo przecież polityka idzie w tym kierunku, żeby mobilizować. A gdyby to był inżynier, to już cały wachlarz spraw poruszylibyśmy. On znałby dobrze szefa, więc dawałby mi koleżeńskie rady: Staraj się załatwiać wszystko sam, bo stary nie lubi, jak mu się dogłębnie o trudnościach opowiada... No i tak dojechaliśmy do stacji. Do kopalni jest jeszcze z pięćset metrów, więc idziemy gromadą, żartując. Strażnikowi uchylam kapelusza - bo nadal dla wszystkich grzeczny jestem - a strażnik mi salutuje, choć obowiązek ma salutować tylko dyrektorowi i jego zastępcom.

Przychodzi do mnie nadsztygar, wita się. Wie, że główny inżynier przychylnym okiem na mnie patrzy, więc jak nawet chce mnie opieprzyć, to już nie nazda mi od najgorszych, tylko opieprzy z gracją, delikatnie. Są zadowoleni ze mnie. Czasami nawet przyjdą do żony z ramienia rady zakładowej - z kwiatkami, żeby pogratulować małżonka ("Pani mąż, pani

Dąbkowa, przyczynia się do wysokich osiągnięć naszej kopalni" albo "Dzięki takim jak on nasza kopalnia osiąga...") - i oczywiście zawsze dostają zaproszenie na Barbórkę.

Ma się rozumieć, na balu mamy dobry stolik. Nie jak wtedy przy drzwiach i tylko we dwoje - tym razem stolik byłby tuż przy parkiecie i na sześć osób. Kto wie, może byśmy nawet złączyli dwa stoliki, bo wszyscy chcieliby się przysiąść - wiedzą przecież, że się ładnie bawimy i w towarzystwie umiemy się znaleźć. Do żony w pięknej toalecie za raz podszedłby ktoś. I znowu byłaby rozrywana, wesoła, i wrócilibyśmy nad ranem dopiero, pełni wrażeń, i wspominalibyśmy różne ucieszne epizody, i obłapialibyśmy się, i mówilibyśmy o szczęściu, które nas spotkało... 1

Szczęśliwe życie żony sztygara

- To jest zdjęcie ze spływu Dunajcem, gorące było, panie są w samych haleczkach. A tu z profilu byłam wzięta.

Teraz jestem na rewirze, to sweter robię i firankę szydełkiem. Ja taka mrówka jestem i nie krzywdzą sobie żadnej pracy.

Mięso było wczoraj ładne, na rosół, ale rolady tei można było zrobić.

Na święta kupiłam już mak. Grzyby z zupy wyciągnę, zasiekę i usmażę krokiety. Córka jest w szkole, syn pracuje i uczy się. Ja te za dziećmi strasznie głupia jestem.

Mam wzrostu metr siedemdziesiąt, a ważę sześć' dziesiąt dziewięć, nie schudnę ani nie zgrubne.

To była piękna sala, ta na sylwestra. Filary z lu ster, można by się w tańcu przeglądać, ale mni< nikt nie poprosił.

18

Mąż mówi, że jeszcze tym czy innym zostanie, ale ja już mu nie wierzę.

To był kapitan żeglugi wielkiej. Człowiek naprawdę na stanowisku, można było o wszystkim z nim porozmawiać - jeden temat się wyczerpie, już drugi jest.

Podobno na "Batorym" jest kawiarnia i basen, słyszała pani? To bardzo wielki statek podobno.

Ja już byłam na morzu. Przepłynęłam od Kołobrzegu do Świnoujścia - pięć i pół godziny, dzięki temu kapitanowi weszłam na latarnię morską, na sam szczyt, a jak płynęłam, morze było równusień-kie. Stałam na dziobie i byłam lekka, jakbym miała siedemnaście lat.

Z tym kapitanem spacerowałam tylko.

Taka najtańsza trasa "Batorym" - to dokąd może być?

Mąż twierdzi, że jak się z nim rozwiode, to umrze. Mówię - nie umiera się tak łatwo, nie myśl. A on - że będzie tak powolutku umierał i że już zaczął nawet.

Wie pani, jakbym była rozwódką, tobym do tej, kawiarni nie mogła już przyjść, nawet z panią. Rozwódka - i do kawiarni? Pomyśleliby jeszcze, że na coś czekam.

Właściwie - nie mam przyjaciółek. W naszym domu taka jakaś rasa jest, przyjezdna, od parteru po trzecie piętro.

Na parterze bili się tak, że spadł żyrandol, ale jak on się powiesił wreszcie w piwnicy, na pasku, i jak wynosili ciało, to ona rzuciła się: Zostawcie mi go... Zostawcie go... - krzyczała, no, wie pani, na głos żeśmy się śmiały, wszystkie, mimo tragedii.

Na pierwszym piętrze mieszka jedna, która się kocha w księdzu. Ksiądz jest śliczny, to prawda, ale ona raz pobiegła na plebanię nocą, a jak gospodyni

nie wpuściła jej, to wróciła, ubrała nocną koszulą i chciała się z okna rzucać. Mąż i synowie trzymali ją za nogi i ledwie z parapetu ściągnęli.

Na drugim piętrze mieszkamy my.

A ta na trzecim, jak przyszedł ksiądz po kolędzie to zamkła męża w łazience na klucz, żeby jej wstydu nie robił, bo się jąka.

No i taka rasa to jest, a ja jestem w końcu żonE szttygara.

Pracuję społecznie: jestem aktywistką, w Komitecie cię sklepowym S 18 udzielam się.

Co miesiąc spotykamy się, dyskutujemy o ulepszeniach i punktujemy działalność.

Najwięcej punktów jest za zwerbowanie nowego członka do WSS - całe piętnaście a za piętnaście punktów dają nagrodę, 800 złotych więc sto dwadzieścia bierze ta, która zwerbowała a reszta po osiemdziesiąt. Członek WSS może korzystać z wielu rzeczy, z usług "Praktycznej Pani" z porad prawnika, na walne zebranie może przyjść a tam w bufecie można kupić i frankfurterki, i bom bonierki Wedla, wszystkie deficytowe towary si< rzuca, a jeszcze ugaszczają ciasteczkami i kawą i t( najważniejsze, że wesoło jest i wszystkie tak gawę. dzimy sobie.

Naprawdę, bardzo lubię pracę społeczną i nie wyobrażam sobie bez niej życia.

Rokowania

Zatem jutro ma być sprawa rozwodowa, trzeci; już i ostatnia. To ona była jej inicjatorką i nie chcia ła ustąpić za nic, choć on "zaczał już umierać po wolutku". I szttygar prosi, żebyśmy tak jeszcze po rozmawiali może, żona, on i "pani redaktor" - dobra?

Więc siedzimy we troje, milcząc albo mówiąc, ż<

20

śnieżek tak prószy sobie i pokazały się przed świętami węgierskie śliwki. Aż wreszcie żona szttygara-powiada tak:

- Nie będzie rozmowy, aż mi pierścionków nie odda.

A szttygar nie jest zmieszany, bynajmniej. •

Owszem, zabrał pierścionki przez siebie podarowane. A co, dlaczego miałyby je nosić, jak chce rozwodu.

Kuzyn, na przykład, zawsze trzyma pierścionki żony u siebie i pozwala założyć tylko, jak gdzie wychodzą, i to razem. A po powrocie zaraz zamyka w kasetce i zabiera klucz. Więc żonie szttygara i taki nie działa się krzywda: mogła, kiedy chciała, nosić pierścionki. •

- A jakie jest pani zdanie? - pyta szttygar.

- Moim zdaniem - mówię, skoro mnie już pytają - powinien je pan zwrócić, i to z miejsca.

- Niech będzie - mówi szttygar (żeby wiedzia-, ła, że on chce się naprawdę pojednać). Ale wobec tego musi wyjść, a właściwie wyjechać, bo nie trzyma tych pierścionków w domu.

Robimy zatem przerwę w pertraktacjach. On jedzie gdzieś, a my z żoną idziemy na długą rozmowę do kawiarni "Szeherezada".

Wracam do nich nazajutrz - i na stole, pośrodku, leżą już dwa pierścionki. Jeden z ametystem, drugi z szafirem, łącznie za pięć i pół. Możemy prowadzić)' rozmowy dalej.

A nie, chwileczkę.



Teraz znika żona sztygara. Przynosi skądś jego spinki od koszul - srebrne, z bursztynami.

To sztygar z kolei wstaje. I wraca z naszyjnikiem z bursztynów, którego zniknięcia nawet nie zauważyła, j

To wtedy żona sztygara mówi:

- Jak wszystko, to wszystko. Bo ja ci jeszcze gwizdłam i bon.

- Co takiego? - To już sztygara naprawdę rusza. - Bon? Na encyklopedię?

- I nawet kupiłam tom pierwszy - trumfuje żona. Rzeczywiście. Wnosi piękna księgę, w celofanie, na grzbiecie złotymi literami ABCDEF.

- To taak - mówi sztygar. - Toście dlatego byli ostatnio tacy dobrzy w krzyżówkach. A ja już dziwiłem się, skąd oni znają tyle dziwnych słów. Pierwszy etap rozmów (zwrot mienia) mamy więc za sobą, teraz można omówić warunki.

- Po pierwsze więc, żeby mi nie ubliżał przy dzieciach. Po drugie, żeby nie bił mnie...

- Och - mówi sztygar - zaraz bicie. To były klapsy, jak to w małżeństwie.

- I po trzecie - mówi żona sztygara - nie rzucę pracy w WSS.

- O, przepraszam - on oponuje. - A cóż to? Czy to ja nie utrzymam sam rodziny?

Żona musi mieć czas na siebie i na dom, musi mnie czekać z obiadem, ja już od drzwi mam czuć te zapachy i widzieć ją w czystym fartuszkach, i mamy siąść do stołu dopiero, jak ja siądę. Zenek, nie garb się - powiem, Tereska, jedz kulturalnie, a teraz wszyscy podziękujemy mamie - o, taki ma być dom. A przy pracy czy ona będzie miała czas na to wszystko?

- Po czwarte, niech mam prawo jeździć na wczasy z zakładu pracy.

- Sama?!

- No, z dziećmi (żona sztygara też czuje już, że trochę przesadziła).

- Z dziećmi - proszę. Tylko, żeby mi potem żadne listy nie nadchodziły. Pocztki - tak. A i to nie za często...

No i tak uzgadniamy szereg spraw, kompromiso-

22

wo i ku zadowoleniu obu stron, ale trzeba już kończyć, bo ucieknie autobus do Mikołowa.

Butelka Malwazji

SPOKOJNE NIEDZIELNE POPOŁUDNIE

jest mgła zmieszana z węglowym pyłem, fezare są lisy na dopasowanych w talii paltach spa-

Szara

W sądzie jest dzisiaj dziesięć rozwodowych spraw a sztygarostwo dopiero na ósmej pozycji. Wchodzę, proszę sędziego, żeby bez kolejki nas wpuścił (chcą się pogodzić, lepiej działajmy szybko). Adwokaci skła dają odpowiednie oświadczenia, sędzia pyta: ;

- Czy pani zgadza się...

- Tak - mówi żona sztygara. ferujących z rodzinami pań i tylko tapety w jadalni

I Wysoki Sąd ogłasza umorzenie sprawy rozwodo-fBugdołów mają kolor wesoły jak apluzyna. ("Nie

wej, życząc sztygarostwu wiele szczęścia na nowefhiówi się apluzyna - powiedziałyby Różamaria, żona

drodze. feudolfa. - Mówi się pomarańcz". Różamaria dba

Opuszczamy sąd. |b poprawność języka, bo pani na wywiadówce znów

Z bratem sztygara, górnikiem kopalni "Boże Da-jprzypominać musiała o liceum. "Jeśli chcą - mówiła ry", który przyjechał jako świadek, ale okazał sypani - żeby dziecko zdało egzamin, to niech rozma-niepotrzebny, łapiemy taryfę. Za osiemdziesiąt zło-wiają poprawnie. Gwara na egzaminie się nie liczy"). tych - cena nie ma dzisiaj żadnego znaczenia, każ-iBernard Bugdoł siedzi w fotelu, ogląda telewizję. dy z panów chce płacić - jedziemy do miasta, dotyioletta Villas śpiewa, czy warto, czy nie zostaną lokalu "Rosita" (a może wolelibyśmy do Tych? Albojsama, Magda Bugdołowa robi firankę. do Katowic nawet? Ale nie, tu, u nas, niech wszyscy- - Jak ona nosi te włosy! Ale głos ma. Teraz wra-nas widzą) i zamawiamy dużo kawy i ciast, i Mal-Jńam w środek szydełkiem pajęczynkę, łańcuszek wazji, i wszyscy chcą wesołością okazać, jaki to bez-jj trzydzieści słupków dwa razy nawijane, w co drugi troski, jaki szczęśliwy dzień. pczek wkluć i do tej jednej kostki trzy słupki... !' Zwykle niedzielne popołudnie. Gdyby nie kore-Ipondent, Bernard by teraz drzemał w fotelu. j, - ...i znów dwa oczka, co szukasz, Bernard? j - Te 552 procent. - A w szafie nie ma? To było w listopadzie, ja, listopadzie, jak Marysia się urodziła, a później p co jeden rząd to jedno oczko łańcuszka więcej, pdbo weź pani kawałek firanki, bo z samego pisania to pani mądra nie będziesz. W listopadzie Marysia >ię urodziła i zaraz był ich wykon, więc powiedzieli, 25

ze ojcem chrzestnym "będzie Bierut. Ale Marysia ]\ była ochrzczona, już było po ptokach. Dwoje dzieci mieli więc, a mebli ciągle nie był\* sówek nie ma Wigilii. Kroi się bułkę francuską w plastry i zalewa gorącym makiem na mleku, z cu-crem, masłem i migdałami. Warstwa bułki - war-i nie szło zarobić. Ale na szczęście wyskoczył Pstrow stwa maku, łyżką się je, zimne i wilgłe. Podobno ski z procentami. wczoraj mak był na Lipinach. Magda powinna je- - Chodź, pierunie, pobijemy go, powiedziałaś -chać, ale ucho ją boli, lekarz mówi, że nerwy, mówi Magda. - Występuj z tymi pieninami, bs> \_ Gdyby pani przeszła tyle co ja, też by pani państwo z gazet to lubią... nerwowa była. Oglądać się na ulicy za siebie, a jak Osiągnęli 552 procent. Pstrowski zjechał z niimidzie ktoś, wchodzić szybko do bramy - codziennie na dół i przyznał, że są lepsi ("przyjechał Pstrowsfcprzez siedem lat. i spojrzął w szczerze czarne oczy Bernarda..." - "To ten, co norma szpanuje" - wołali za nim, z książki "Droga Bernarda Bugdoła", kolejnej z ej bo ludzie nie uświadomieni jeszcze byli i wiadomo, klu, w którym ukazały się już pozycje następujące jak zagranica na to patrzyła. Na "Sierszy" ledwie "Pomysł Edwarda Musiała", "Filak łamie stare re zdążył wskoczyć do samochodu - dobrze jeszcze, guły", "Jak Stefan Wróbel ustalił nową normę że ten samochód był. Wozili go tak po kopalniach, i "O człowieku, który minuty przetopił w stał"). Dru żeby opowiadał, jak osiąga procenty. Kiedy wyrzu-

giego grudnia 1948 roku dostało się to do gazet cali go, szedł do K W, meldował, a na drugi dzień

a piętnastego grudnia, na kongresie z jednoczenie-wracał do ludzi. Pod drzwiami znajdował listy: Jak

wym, Bernard siedział już przy Bierucie, tylko tronie uspokoisz się, to...

Trzydzieści osiem listów w

chę na lewo, na skos. sumie. Właśnie wtedy Magda powiedziała ministro-  
Marysia i Irusia są już dorosłe, jedna za górnikowi, że dłużej tak nie  
wytrzymie, i dostała sanato-wyszła za męż, druga za hutnika. Ludzie nawet śmie-

rium.  
ją się, że Bernard pozwolił córkom za prostego prą Brat Rudolf tego nie  
przeżywał. Razem pobili re-

cownika iść. Gorzej, że Irusia nie skończyła techkord, ale tylko Bernard miał  
wymowę i występował

nikum. jpublicznie. Rudolf tymczasem z chłopakami chodził,

- Choć mówiłam: Irusia, wspomnisz moje słowa na akord jonie grał (jak spytano  
go, co chciały w

rzucisz szkołę, to zostaniesz w domu jak ja. nagrodę, odparł: akordjon,  
studwudziestobasowy).

- Powiedziałem ci, ty u mnie robić nie będziesz! żadnych listów nie dostawał,  
najwyżej od Róży-musiała - mówi Bernard nastawiając radio, bo za marii, z którą  
się ożenił po wojsku. O, Rudolf miał raz będzie "Karolinka". - I słowa  
dotrzymam. spokojne życie i nerwy Różymarii są w porządku.

- A jak ty umrzesz, Bernard? ; Wszystko, o czym sobie gawędzimy  
tak w bez-

- To dostaniesz rentę. troski dzień niedzielny, jest przeszłością i dla Ber-  
- Nie dostanę, bo jeszcze nie mam lat. narda. Dziwi się zresztą, że o nią

pytam, bo nie na-

W grze liczbowej "Karolinka" wylosowano dzi chodzą go już

dziennikarze. Siedzi jak w każdej nie-

numery następujące: dziesięć, trzydzieści dwa, czter dzielę, nagrywa coś z  
UKF, "przytul, uściśnij, po-

dzieści osiem... Róża dostała gdzieś mak. Bez ma całuj" teraz, zresztą  
niepotrzebnie, bo, jak się oka-

26 1,

.27

2Uje, ma to już nagrane, Latem siedziałyby w Ogrfektor Wagony były, lecz nie  
było fedrunku - dy-dzie. Kiedy przestał być dyrektorem, zajął się ho rektor.  
dowłą roz. Ma ich sto dwadzieścia: i różową Karim - Byle przyństwo jakie i  
zaraz dyrektor, to ja

i szkarłatną Canastę, i Eminence koloru lila, i cyfsię pytałam: po co  
ty, Bernard, inżynierów masz,

trynowego Johna Kennedy, i niebieski Karneyaijeśli wszystko musisz sam  
załatwić.

tylko czarnej brakuje mu jeszcze, Bon Nuit, którj - Ja, mamuś, byłem znany -  
podejmuje Bernard

nie idzie dostać. (spór, który trwał przez dwadzieścia lat w tym do-

Przeogląda katalog róż, a ja stare wycinki z prasy mu- - Mnie wszyscy załatwiali  
szybciej. Jak trzeba,

Wyłania się z nich inna nieco wersja spraw o któ|to do ministra dzwoniłem i do  
KW.

rych przed chwilą słyszałam. Bernard w tych gazet ~~ Miałeś magistrów na to.  
Powinieneś nimi kie-

tach "zamaszystym ruchem odłupywał ze ścian czarirować> a ty wszystko chciałeś  
sam. Myślałeś, że jak

ne bryły", "jeździł od kopalni do kopalni zadziwia j J ciebie nie b?dzie'  
to kopalnia stanie, co? A teraz  
wszystkich swym wysokim kunsztem, umiał przfciebie nie ma> k°Palnia  
Jest> Bernard> widzisz?  
tym obrazowo tłumaczyć i porywał swoim przykj (D° teg°' C° teraZ móWi Magda'  
nie dorzuci Juz  
dem", a "dzienniki całej Polski sławiły nazwisk! właściwie nic  
inżynier. z którym potem rozmawiam  
dzielnego rębacza". Bugdoł nie ukrywa żadnych są' ° Bugdole- Choć ma znacznie  
wyższe od Magdy sta-  
zet. Podsuwa także i tę, w której na rysunku wsiach n°wisk°' wykształcenie i  
^iul- Stwierdza tylko, że  
do dyrektorskiego auta (podpis- BUG - DÓŁ) ' »Łagiewniki" miał'y od kilku  
lat opimę Jedne:i z go~  
czym wyjeżdża z kopalni na taczkach (BÓG WZTAf l rzej Prowadzonych k°Palń'  
Do każdeJ tony węgla  
- Ale to nie było tak - mówi - Mnie ^ Tta ^ trzeba był° d°kładać trzydzieści  
zl°^^' »A akumu'  
ba na taczkach wieźć. Sam wzięłem hełm ito^>Cja ^ Na °?° w^aj? «^ dz^ ^gadnienia,  
działem: no, to ja zjeżdżam fedrować organizacji procesów produkcyjnych i  
wiedza o tym,  
Potem, kiedy komisja obliczyła już skrupulatnie ^^^^ \*\* ^ (tm) \*\* \*\*  
""  
ilość aut, jakie miał w życiu, i pomocy domowych r > ^ « t u  
, • - M A  
które zatrudniał, zwrócono mu legitymacie JrTw ~ ' takl Rud°lf ~ podeJmuJe  
Magda- ~ Sztty-  
i stanowisko dyrektora ie^(tm)cK partyjną garem od dwudziestu  
lat jak był> tak jest. I co? Czy  
-Ale honoru nie zwrócili ci Bernard A hnnn, ^ nied°brze?  
był°' by  
a^-- zęby me-  
dla górnik jest najważniejszy Mkt nie budzłł Rud°lfa W n°Cy' Mc me  
Ogółem był dyrektorem kopalni przez dwadzieścia ^/f °.g° W ^ ("Mał rad' by  
lat, od 1949 roku (ostatnie «LwiL Tt -1T1? ?" ?' ' 36SZCZE v T7 ~  
°T  
ffipwnita^'!"! • + j j • . . " I ^ak luz ma muzykę, byle nie  
za głośną  
giewmkach ) i te dwadzieścia lat doprowadziły do lodia była, i las, to  
jest szczęśliwy").  
rummy i orwy Magdy, nadszarpnięte już przedtem re- \_ Ale ja mam krzyż - mówi  
Bernard.  
Wyk°nem- Nie było S° P° całych dniach tzii o piątej rano, wracał nocą, a jak  
wracał,  
\_ To prawda. Przynieś mundur pani.  
, , . ur  
n,  
zaczynały się telefony. Wagonów nie było - to dy- czarny, ze ztotymi  
dystynkcjami, który zakłada się  
I Bernard przynosi. Galowy mundur górniczy  
na największe okazje: na Barbórkę, akademię i pl  
grzeb. Bernard podnosi wysoko wieszak, mundur s!  
kołysze, podzwaniają medale, a pośrodku, na biali  
-czerwonej wstędze, wisi krzyż. Polonia Restitutuf  
Wszyscy patrzymy na krzyż i na mundur. •  
- Tak - mówię. - To pan ma. f

- I tego mi nikt nie odbierze. Czy chce pan zapisać wszystko? i

Od góry od prawej krzyże zasługi: brązowy, brąz zowy, złoty, złoty, za obronność, srebrny, Sztandą Pracy. Po lewej: nagroda państwowa (wprowadzaj nie kombajnów), medale górnicze - złoty, srebrny zasłużony ratownik, przodownik pracy, zasłużony przodownik pracy, racjonalizator, zasłużony racjonalizator...

- Za to Rudolf z ludźmi bywa, a my nie. ,

- Za to jaki ty masz dom. I meble, i szafkę 1951 No tak. Pół bliźniaka, antyczne meble, w dwóch serwantkach - kryształowe pomnożone lustrem. W jej niej z kryształowych waz piękne, kolorowe owoce: bajki nany, winogrona, jabłka... Atrapy, a całkiem ja! prawdziwe.

Naprawdę zasobny dom, ale jakby odrobinę pułki ty. Gości nie ma tu nigdy. Kiedy Bernard był dyrektorem, nie mogli zapraszać, bo trudno przyjaźnić się prywatnie z ludźmi, którymi się kieruje a pół Łagiewnik pracowało w jego kopalni. Obsejii wowali go. Trzeba było zważać na każde słowo, każdy gest i w końcu miało się to zaufanie tylko do rójki dziny. Chodzili więc do córek albo do brata Rudolfa! albo do jej sióstr. Czasem na urodziny Bernard! wszyscy się u nich zbierali, brali pod ręce za stołką i śpiewali: "Hej, górniczy, zrózcie troski, żyjmy taf do woli boskiej". Bernard mnóstwo piosenek znał spisał je, rozdał rodzinie i śpiewają na głosy.

Dziś, kiedy nie jest już dyrektorem, mógłby mieć

znajomych, ale w tym wieku przyjaźni się łatwi nie zawiera. On nie ma więc żadnych kolegów, a on; przyjaciółek, i jeśli Rudolf nie wpadnie z Różamark to siedzą sobie sami, jak teraz na przykład. Bernardi drzemiac w fotelu, a Magda z szydełkiem i firanko i zadowoleni są, bo Bernardowi już nie odejmuj nóg, a w każdym razie bardzo rzadko. Kiedy był dyrektorem, co dwa miesiące musiał się kłaść do łóżka i nikt nie wiedział, co mu jest. Teraz wszystk przeszło, widocznie też było na tle nerwowym. Wrąca z pracy wnet, o trzeciej, jest behapowcem ^ zjednoczeniu, czuwa nad bezpieczeństwem wszystkich kopalń, zna się na tym, szanują go i właściwi jedno, co Magda jeszcze by chciała, to, żeby był troszkę weselej. Nie musi być zaraz jak u Rudolf i Różymarii, którzy są po prostu chorzy, jeśli nie polecą gdzieś w niedzielę albo do nich nie przyjdą goście. (Jak u wesołej Różymarii, która woła do syria: "Nie mów dzwierzę, tylko drzwi, bo nie dosta niesz się do liceum". Ich syn - pierwszy od czterech pokoleń - nie będzie górnikiem, musi dalej pójść na coś nowoczesnego, najlepiej na maszyny rachunkowe albo telewizory). Magdzie wystarczyłoby po prostu, gdyby mogli czasem wyjść, do operetki na przykład, bo nie wychodzili już od dziesięciu lat, c "Cnotliwej Zuzanny".

- I po co z niego robili bohatera - mówi znówi bez żadnego związku z Zuzanną, Magda. - Przecież nie prosili my. Przecież mebli my nie mieli, a dzie były już i nie szło zarobić...

30

f

WIĄZANKA ŚLUBNA Z KŁOSÓW, RUMIANKÓW I PAWICH PIÓR

Jedno z bardziej znanych w Polsce więzień: Strzel-1 cc Opolskie. To tutaj siedzą zbrodniarze wojenni,; mordercy, skazańcy z dożywociem, więc tu i on, siedzi, od czternastu lat, jeszcze jedenaście mu po zostało. ]

W tej chwili stoi przy oknie w końcu długiego, j ciemnego korytarza. Czeka. Ma na sobie eleganckie - wizytowe ubranie i kremową koszulę: czeka na ślub. A oto nadjeżdża i narzeczona. Białym fiatem - j

jakiż inny miałyby być, przecież do ślubu jedzie - ,  
w ciemnej sukni, białej etoli na ramionach, we wło- '  
sach ma różową gerberę. (Właściwie tylko ten kwiat ;  
budzi zastanowienie. Jest nie tylko niepoważny, jest '  
podejrzany - różowy kwiat we włosach pięćdziesie- •  
cioletniej kobiety pod Zakładem Karnym numer 1  
w Strzelcach Opolskich. Nawet pani magister Bu-  
rzyńska, która przygotowała wiązanekę ślubną - tę i  
piękną kompozycję z rumianków, kłosów i pawich ,  
piór - i którą poprosiła o gerberę do włosów, na- \  
wet ona była zaskoczona niemile. "Dopiero to dało \  
nam z mężem do myślenia, ale - dodała - odrzuci- }  
liśmy zaraz tę myśl. Zresztą gerbera szybko zwiędła,  
jeszcze w gabinecie naczelnika więzienia, podczas  
uroczystości, czy chwilę później, w pokoju widzeń,  
a wtedy przestała być śmieszna, była jedynie stara  
i smutna i przestaliśmy myśleć o niej"). :  
t 32

Tę etolę, którą ma na ramionach, pożyczyła j Barbara Kostrzewska, dyrektorka Operetki Dolni śląskiej. A dowiedziawszy się, dlaczego wychodzi ; mąż za więźnia, zapytała, czy w futrze nie byłot cieplej, może pożyczyć swoje futro, lecz tamta p< dziękowała, etola - to wystarczy, chodzi jedyn o to, by więzień zauważył, z jaką powagą potrakti wała ich ślub, i żeby zapamiętał, jak było na ni ŁADNIE.

Buty, w których tak ostrożnie teraz po błocie st pa wysiadając z samochodu, zrobili w trzy dni głą choniemi. Właśnie walczy o audycje telewizyjne d nich nadawane alfabetem migowym i wszystko wsk zuje na to, że znajdzie dla tej sprawy u władz peh zrozumienie.

Wiazanekę zrobiła jej bezinteresownie pani Burzy; ska, a pawie pióra, które były potrzebne do ni< ofiarował pan Gućwiński, dyrektor wrocławskiej zoo, dodając jeszcze dwa pióra papugi kakadu; r żem z Panną Młodą walczyli kiedyś o schronisl dla zwierząt.

Torba jest pani Parusińskiej, żony adwokata P rusińskiego, który napisał wniosek do Sądu NL wyższego o wznowienie sprawy i nie wziął hon rarium.

Ubranie dla Pana Młodego zdjął z taśmy eksport we j do Japonii dyrektor "Intermody" inżynier Goi cki; działali w Komitecie przeciwalkoholowym bod; Z panem magistrzem Michalakiem, który bęđ; świadkiem dzisiejszej uroczystości, pracuje społeczi w komisji do spraw obrzędów świeckich.

Natomiast białego fiata wypożyczył Urząd Prei denta Miasta, bo pracowała kiedyś w inspekcji i d rektor Wolak jeszcze dziś wspomina, jak to ud; się jej umieścić jakiegoś recydywistę na studia i bowiem stwierdziła, za ma on niezwykle zdolno 3 - Sześć odcieni...

lingwistyczne; siedząc w więzieniu opanował bezbłądnie trzy języki.

Pan Michalak więc - ten z komisji świeckich obrzędów - siada wraz z jej bratem na miejscach dla świadków, a naczelnik miasta Strzelce Opolskie zakłada na ciemny garnitur łańcuch ze srebrnym orłem.

- Drodzy nowożeńcy, połączenie się ludzi w jedną rodzinę jest jednym z najważniejszych wydarzeń w życiu człowieka. Tworzy się nowa komórka życia społecznego...

(Naczelnik nie musiał przychodzić na ten ślub, mógł wydelegować urzędnika stanu cywilnego, ale "zapoznawszy się z sylwetką moralną i polityczną obywatela B." postanowił przyjść osobiście).

...pod opieką i kontrolą Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Oświadczam, że małżeństwo wasze zostało zawarte, i życzą wam, by wasze losy połączyły się jak najszybciej.

W tym miejscu miała rozleć się muzyka góralska z Limanowszczyzny, naczelnik więzienia ustawił już magnetofon, ale w nawale przygotowań Panna Młoda nie zdążyła wypożyczyć taśm, tak 'że od razu przechodzimy do pokoju widzeń. Funkcjonariusz daje do zrozumienia, że czasu nie ograniczają nam, sam siada z daleka, dyskretnie, a magister Michalak wznosi kompotem winogronowym pierwszy toast.

Pan magister Michalak układał wiele scenariuszy podniosłych rodzinnych uroczystości, ale takiej sytuacji w żadnym scenariuszu jeszcze nie miał, zastrzega się więc, że mówi od siebie tylko i całkiem prywatnie, czego życzy dziś towarzyszowi B. A tak, towarzyszowi właśnie, bo dla niego jest on partyjnym towarzyszem nadal i zawsze nim pozostanie.

Pijemy kompot, gawędzimy ,-sobie. Towarzysze Mi-

chalak i B. powracają do wspomnień sprzed trzy dziesięć lat, Michalak był na Lubelszczyźnie zastępcą komendanta szkoły lotniczej.

- ...ale zawiesiliśmy zajęcia, wzięliśmy pięciuse podchorążych i poszliśmy dać bandom zdecydowaną odprawę...

- ...a u nas znów, w Limanowskim, grasował banda Ognia i komunistów było w całej gminie trzech: ja, Kuc i Niewolski. Wszyscy z "Wici" jeszcze i ze strajku w Kasince Małej...

...u Michalaka spalili jednego podchorążego żywcem, dwóch 'majorów zakłuli...

...u B. we wsi Kuc dostał od bandy dwadzieścia pięć kijów, a na czole wytatuowali mu napis "PPR"...

- ...drożdżami płacono nam...

- ...a raz to nawet chlebem...

...po przemówieniu na pogrzebie zamordowanego majora jeden z kolegów Michalaka dostał list: "Ka nialio komunistyczna, będziesz ziemię gryzł jak i on' i rzeczywiście, po paru dniach go kropnęli..."

...a B. miał dwa wyroki śmierci od bandy, jeden: w czterdziestym szóstym, drugi za kolektywizacji już druty telefoniczne odcięli mu, od tamtej pory nosił przy sobie krótką broń, o czym dobrze wiedzie' wszyscy...

- Trzeba sobie powiedzieć, że się ludzi trochę postraszyło. Jak kto hefetary skręcił, jak nie płac: podatków... (Sędzia mu na rozprawie powiedział "Trzeba było z ludnością być". A on na to: "Z wre gim elementem? Nigdy").

- Może - mówi magister Michalak - bezkoinpromisowość naszych ludzi nie była wtedy taka wściviwa. Ale to myśmy, towarzyszu B., spowodował że wybory do Sejmu w czterdziestym siódmym oc były się w atmosferze całkowitego spokoju...

34

- ...i powagi - przytwardza z dumą B. - W at-: mosferze spokoju i powagi przebiegły, tak by to} trzeba powiedzieć. A przecież to były dwa najtrudniejsze województwa: lubelskie i krakowskie. Wasz teren, konkretnie, i nasz...

Funkcjonariusz więzienia słucha wszystkiego z za- t interesowaniem - owszem, zna to, uczyli się: wy- [ bory - bandy - walka klas - na szkoleniu było > przerabiane, jednocześnie zerka dyskretnie do na- ' szych szklanek, musi mieć bowiem pewność, że to, i czym wnosimy kolejne toasty, to naprawdę jest ; tylko kompot. [

Torebka \

należy, jak już mówiłam, do pani Parusińskiej, żony ; adwokata. Ale pani Parusińska bynajmniej nie od razu uwierzyła w sensowność tej całej historii, wcale nie.

Kiedy usłyszała pierwszy raz o sprawie, z którą

przyszła do jej męża pani Z. - wtedy pani Z. jeszcze, dopiero potem była Panną Młodą - pani Parusińska powiedziała: Słuchaj, Jurek, ty jesteś pewny, że ona jest całkiem normalna? ;

Mecenas Parusiński pojechał do tych Strzelę, rozmawiał z B., a po powrocie przyjął od pani Z. zwrot kosztów podróży. I były to jedyne pieniądze, jakie w związku z B. otrzymał, kiedy bowiem wrócił z Krakowa po przeczytaniu akt, pełen wątpliwości co do winy skazanego, powiedział żonie: "Słuchaj, a właściwie dlaczego ona ma płacić za wszystko?" (Bo pani Z., jak i mecenas Parusiński, nigdy przedtem tego B. nie oglądała na oczy. Zajęła się nim, jak się zajmowała mnóstwem innych spraw, a to nieletnimi przestępcami, a to walką z alkoholizmem,

a to głuchymi, ślepyimi, bezdomnymi, schroniskiem dla zwierząt...)

Nie chcę powiedzieć przez to, że pan mecenas Parusiński jest bezinteresownym, szlachetnym maniakiem. To doskonale prosperujący adwokat, elegancki pan w średnim wieku, w eleganckim aucie, cały pochłonięty dziesiątkami nadzwyczaj ważnych spraw. Tyle że któregoś dnia powiedział: "Słuchaj, Haniu, jeśli ona mogła przez osiem miesięcy prowadzić prywatne śledztwo, to ja przecież mogę te trzysta godzin poświęcić, prawda?"

Rezultatem tych trzystu godzin był wniosek do Sądu Najwyższego o wznowienie postępowania karnego przeciw Władysławowi B. skazanemu na do-żywotnie więzienie za zabicie swojej żony.

Zaczyna się cały wywód od tamtych odległych sprzed trzydziestu lat, spraw. Tych samych, którzy wspominali w pokoju widzeń Pan Młody z towarzyszem Michałakiem: od biedoty, która wybrała B. n; przewodniczącego, i od bogaczy, którzy znienawidził go, bo ujawniał ich nie opodatkowaną ziemię i ni odstawione zboże. Bowiem mecenas Parusiński uważa, że między t; ich wciąż żywą nienawiścią a rozprawą, na które zeznawali jako świadkowie oskarżenia - istnieje logiczny związek.

Kiedy przed czternastu laty toczyła się rozprawa sąd. nie mógł wiedzieć, jak bardzo B. naraził się każdemu ze świadków; pani Z. nie wdrożyła jeszcze wtedy swojego osmiomiesięcznego, prywatnego śledztwa. Tym bardziej nie mógł przewidzieć nikt, że wiele lat po wyroku dwaj świadkowie - jeden przez śmiercią, żeby sumienie oczyścić - odwołają swój oskarżenia.

Pani Parusińska pożyczyła więc swoją torbę pani Z. - bladokremową, dość dobrze zharmonizowaną

36

z białą etolą, a pan Parusiński po moim powrocie, ze Strzelę zapytał, jak to wszystko wypadło.

- Zupełnie dobrze - powiedziałam. - Tylko ten i: różowy kwiat we włosach wydał mi się trochę zabawny...

- To dlaczego nie kazała jej pani go zdjąć? - zdziwił się pan Parusiński.

Wy tłumaczyłam mu, że bałabym się urazić panią Z., ale była to odpowiedź wykrętna. Nie mogłam mu przecież powiedzieć, że nie jestem od tego, by wyjmować z cudzych włosów różowy kwiat, tylko żeby zauważyć, jak jest zabawny, i napisać o nim.

Wiązanka ślubna [

była prezentem pani magister Burzyńskiej. Pani Bu-i rzyńska znania jest w całym Wrocławiu ze swoich kompozycji kwiatowych. Historycy sztuki przyrównują jej prace do twórczości choreografów i malarzy, a pani Kudo Hysayo Umeda, Japonka, pod której kierunkiem studiowała ikebana, napisała: "Japończycy bardzo się cieszą, że we Wrocławiu mieszka Julita i jej mama Bożena Burzyńska, bo są one jako ziarno, z którego ikebana wykiełkuje".



O jej bukiety ubiega się mnóstwo ludzi i pani Burzyńska mówi, że to dlatego, bo ich życie stało się spokojne i dobre. Kiedy ludziom jest źle, nie myślą o kwiatach. Kto na przykład myślał o nich w czterdziestym szóstym roku, gdy przyjechała do Wrocławia? Ona sama nie myślała przez pół roku szyb, bo ludzie mówili jej, że nie warto. Ale już w czterdziestym siódmym powiedziała swojemu dyrektorowi z Centrali Nasiennej: "Wie pan, nikt już nie wie, jak wygląda kwiat. Po wojnie ludzie całkiem o kwiatach zapomnieli i my musimy pokazać choćby młodemu pokoleniu, jak to wygląda..."

Wystarała się o przepiękne tulipany i postawiła je w oknie sklepu Stasia Gładąły na ulicy Dubois.

Ludzie wysiadali z tramwaju specjalnie, dzieci przyprowadzano ze szkół, wszyscy stali pod wystawą i patrzyli: o, tulipan.

Potem zaczęła organizować prawdziwe, duże wystawy kwiatów i po dwie godziny czekano w kolejce przed wejściem. Pomyślała: "Chyba życie we Wrocławiu normalizuje się, skoro kwiat jest znowu potrzebny".

W latach pięćdziesiątych zaczęto kupować kwiaty powszechnie, ale tylko w prezencie. A pani Burzyńska uważa, że dopiero gdy sobie samemu kupuje się kwiat - ot tak, bez powodu, i to w kwiaciarni - dopiero wtedy jest to niechybny znak dostatku i spokoju. Od niedawna - właściwie dopiero w ostatnich czasach - ludzie nauczyli się kupować kwiaty dla siebie...

Tak więc pani Z. znając kompozycje pani Burzyńskiej z wystaw kwiatowych poprosiła ją o wianek. A gdy Burzyńska usłyszała, za kogo i dlaczego wychodzi za mąż, zgodziła się zaraz, choć tyle ma zamówień, i o zapłacie nie chciała słyszeć nawet.

Wspólnie ustaliły, co to powinno być: kłosy - bo chłop, wstążki - bo z Krakowskiego, pawie pióra - jako aluzja do "Wesela" (tyle że tym razem z miasta była Panna Młoda), no i pęk białych rumianków w tle, mogą być gerbery ostatecznie, ale nie mniej niż piętnaście sztuk. Pani Burzyńska oświadczyła stanowczo, że pawie pióra tylu właśnie kwiatów wymagają.

Świadkowie

Pan magister Michalak, kierownik wrocławskiego urzędu do spraw wyznań, który, jak już wiemy, był

39

38

świadkiem na ślubie, zna panią Z. ze wspólnej działalności społecznej w komisji obrzędów świeckich. A trzeba wiedzieć, że dzięki ofiarnej pracy tej komisji Wrocław jest pierwszym miastem, które całkowicie rozwiązało problem świeckiego ceremoniału pogrzebowego. Wrocław ma na przykład mistrza ceremonii pogrzebowej, który wraz z czterema żałobnikami na czarno i ze srebrną lamperią kieruje; obrzędem, Wrocław ma także cichobieżny, elektryczny, całkowicie zmagafonizowany karawan pogrzebowy. Trzeba podkreślić też, że coraz więcej ludzi chce mieć pogrzeb świecki, i to jest ta koncepcja, którą komisja ma do zaoferowania społeczeństwu Wrocławia. Drugim świadkiem na ślubie miał być biegły sądowy doktor D. Spotkałam się z nim na placu Muzeum w klubie i zaraz się okazało, że jest to ten dom, w którym mecenas Parusiński w czterdziestym szóstym roku urządzał pierwszy bal we Wrocławiu. ("Dwie orkiestry grały, tańczyło pięćset par, nad ranem ruszyliśmy do poloneza. Mam jeszcze zdjęcie z kotylionem"). Ale doktor D. nie miał najmniejszego pojęcia o tym balu i mecenas westchnął z pobłażaniem:

i

- No tak, on tu jest od niedawna. [

Istotnie: mecenas Parusiński mieszka we Wrocławiu

clawiu od trzydziestu lat, plus staż w lagrze Arbeitsfrontu w Oleśnicy, a doktor D. zaledwie dwadzieścia osiem.

- Ale wie pani, ile zrobiłem sekcji przez ten j czas? - mówi z dumą. - Cztery tysiące! [

Każdy bowiem ma swoją własną miarę czasu;; mecenas Parusiński lubi sprawdzić niekiedy, czyi jeszcze siedzi kit w oknach liceum, które szklił w czterdziestym piątym roku, pani Burzyńska mierzy

czasu znaczeniem kwiatów, no, a biegły sądowy - sekcjami.

- Zwłoki, proszę pani, to dla mnie nie człowiek. Zwłoki to problem. Każda sekcja więc staje się rozwiązywaniem pasjonującej zagadki: czy ktoś zabił? kiedy? jak? czym?.

A jeśli zdoła odtworzyć przebieg zdarzeń, który potem się potwierdzi na rozprawie, to jest to dla niego satysfakcja największa.

Do doktora D. właśnie, biegłego sądowego od 28 lat, zwróciła się pani Z. z prośbą o ekspertyzę.

Sporządził ją i nie znalazł w protokołach sekcji zwłok żony B. żadnych dowodów na to, iż została przed upadkiem do studni zamordowana. Ślady obrażeń - stwierdził - świadczą raczej, że był to nieszczęśliwy wypadek (zdarzył się nocą), to zaś, co sąd uznał za ślad śmiertelnego ciosu, dla doktora D. jest rezultatem nieumiejętnego otworzenia czaszki przez wiejskiego lekarza podczas sekcji.

Ekspertyzę wykonał bezinteresownie, mówi, że jeśli trzeba będzie, to powtórzy swoją opinię przed sadem, więc właściwie dobrze się stało, że nie miał czasu jechać na ślub. Biegły nie powinien wplątywać się w żadne prywatne sprawy którejkolwiek ze stron.

Etola

należała do Barbary Kostrzewskiej, dawnej prima-donny opery w Warszawie i Poznaniu, dyrektorki Operetki Dolnośląskiej.

Barbara Kostrzewska ani przedtem, ani potem nie widziała pani Z.; jej prośbę usłyszała przez telefon.

- Czy nie mogłaby pani wypożyczyć z kostiumów teatralnych czegoś ładnego na ślub, bo chodzi o to, że,.. - mówił w słuchawce głos pani Z., a pani

40

41

Kostrzewska odparła, że niestety, nie mają wśród: kostiumów etoli, ale to żaden kłopot, doprawdy, bo| przecież ona ma swoją własną, którą pożyczycy chę-j nie. Ale - zapytała - czy nie lepsze byłoby futro?| Na przykład popielice. No i któraś z jej długich wie-|: czorowych sukien... \

Na szczęście pani Z. nie chciała futra, na szcza-j.

ście - bo wie pani, co? Bo się okazało, że w popie licach mole zżarły cały przód, Boże, co to była za historia. - Jechała do Lubina właśnie - mają tam swoją filię - i żeby nikt nie myślał, że chałtura, wystawili już dwie premiery - próby odbywają siiiif w pedecie wrocławskim albo na dworcu, bo ciągle f nie mają własnej sali, ale w końcu polska prapre-f miera "Na szkle malowane" odbyła się tu, u nich. -\

A wie pani, kiedy wpadłam na pomysł góralskiego i musicalu? O trzeciej nad ranem. I o dziesiątej już byłam w Warszawie u Brylla - Bryll z początku nie

chciał się zgodzić, ale ona mu zaczęła śpiewać góral-1  
skie piosenki. Tak że ogromną, ogromną frajdę mas  
z tej pracy we Wrocławiu i w Lubinie. Aha, tak, L.  
i właśnie w drodze do Lubina stwierdziła, że całe 1  
spodnie są w strzępach popielic.

- A nie przyszło pani na myśl, że ta nie znana pani kobieta może po prostu  
etoli nie zwrócić? -t pytam panią Kostrzewska.

Pani Kostrzewska zastanawia się:

- Pomyślałam przez moment o tym. No i co? - odpowiedziałam sobie. - Nawet jeśli?  
Mało to rze-| czy straciło w życiu moje pokolenie?

Ślubny garnitur

dla Pana Młodego zdjął z taśmy eksportowej dyrektor zakładów "Intermoda"  
magister inżynier Górecki. Ubranie było wykwintne, ciemnoszare, z leciutkim  
połyskiem... Dyrektor mówi, że to jest ich normalny poziom już od dwóch lat, od  
tyłu bowiem produkują na eksport - do Japonii, Holandii, RFN. O, produkcja na  
eksport to już nie jest styl pracy warsztatu krawieckiego. To są krótkie serie,  
więc częste zmiany, więc konieczność szybkiego uczenia się.

Niestety, przy takim standardzie szybko wychodzi na jaw, kto do czego się  
nadaje. I kiedy się okazuje, że już się nie nadają starzy pracownicy, ludzie  
skądinąd zacni, zasłużeni, pionierzy nawet - czy rozumie pani, co to oznacza dla  
nas? Ile dramatów ludzkich? Ile trudnych decyzji? Ale garnitury do Japonii muszą  
odpowiadać ściśle wymaganiom klienta, więc kiedy niedawno kilka robotnic  
próbowało dowieść, że tym wymaganiom nie uda się sprostać, trzeba było pokazać  
im, że owszem, można, jedna osoba musiała, niestety, przejść do innej pracy, no  
i garnitury schodzą z taśmy bez zarzutu, o czym się mogłam przekonać sama choćby  
na przykładzie ubrania Pana Młodego. (To była tkanina elanowej-niana, typ  
wizytowy, sylwetka B., eksport do Japonii. "No? I jak leżało na nim? A widzi  
pani...")

- Skąd pan zna panią Z.? - pytam dyrektora Góreckiego.

- No, właśnie, sam się starałem to sobie przypomnieć. Chyba działalność  
społeczna. Ale gdzie? Zadzwoiła. Mówi mi - chodzi o więźnia, jej zdaniem  
niewinnie siedzi... Myślę sobie - no, jak garnitur jest mu potrzebny...

42

43

Biały fiat

którym jechała do ślubu pani Z., należał do Urzędu Prezydenta Miasta. Kiedy pani  
Z. pracowała tam przed laty, a ówczesny przewodniczący nie wiedział akurat, co  
zrobić z bezdomną matką, która mu kładła dziecko na biurku, lub ze zwolnionym  
więźniem, który mu się na progu kładł, to przysyłał ich do pani Z. W ten sposób  
znalazła pod drzwiami swojego mieszkania epileptyka Stasia Kryzę, na przykład, i  
dowiedziała się, że jej adres znajduje się też za rezerwuarem klozetu w areszcie  
śledczym na Sądowej obok innych bezcennych adresów: najtańszych prostytutek,  
najdroższych paserów itd. Wtedy również dowiedziała się o talencie  
lingwistycznym owego recydywisty, którego wspomniał dyrektor Wo-lak. I chyba  
wtedy zaczęła swoim podopiecznym z sądu dla nieletnich nosić smalec stopiony z  
jabłkiem i cebulką, który osiągnął najwyższą siłę nabywczą w całym areszcie,  
wyższą niż papierosy.

Pani Z

jest niemłoda i chora;

żyje z renty;

myśli, że wystarczy powiedzieć: "on jest niewinny", i brany więzienia  
otworzą się;

ale bramy więzienia się nie otworzyły, więc musiała wymyślić coś, co zwróciłoby ludzką uwagę.

Mówi, że nie zostało jej już dużo życia, więc z tą resztą, która pozostała, musi zrobić coś sensownego. '

"A co może być sensowniejszego niż zademonstrowanie wiary w ludzika niewinność?" i

Myślała, co więcej mogłaby zrobić. •

Mogłaby, na przykład, popełnić efektowne samobójstwo,

Owszem, rozważała i to.

Ale ludzie tylko powiedzieliby: "jak te nerwice zastraszaśo się szerza", i nie byłoby to skuteczne.

Więc zdecydowała się na ślub.

Najbardziej się bała, że nikt nie zrozumie tej decyzji. Bała się, że będzie tylko śmieszna - stara, chora i śmieszna, nic więcej.

Ale - to nawet dziwne - nie roześmiał się nikt. I nie tylko się nie roześmiał, lecz wyglądało to tak, jakby ci młodzi, energiczni, ambitni, zajęci mnóstwem poważnych spraw ludzie na pierwszy sygnał pani Z. odkładali te swoje ważne sprawy, żeby się zająć jej - dziwnymi i szalonymi.

To wyglądało zupełnie tak, jakby jej szaleństwo budziło w nich - normalnych - ich najlepszą część.

Nawet jej brodaty syn, student, pobiegł do "Jubilera" z resztkami stypendium, żeby kupić Panu Młodemu spinki srebrne z wielkim agatem.

Ba, nawet reporter już gotów był coś zrobić, gdzieś biec. Ale w porę przypomniał sobie, że jest tylko od pisania o tych, którzy biegna.

44

r

ROMANS PROWINCJONALNY

Ona:

Tylko pani może mu pomóc, mówi mistrz. A ja: pan ma na myśli tego dziwkarza? Pani Alinko, mówi mistrz, chcą go wyrzucić. A niech wyrzucają, nie słyszał pan, co wyprawiał z tą piegowatą z wu jeden? Pani Alusiu, mówi mistrz...

On:

Dyrektor powiedział, że aktyw żada zwolnienia mnie z fabryki. Ale on wyciąga do mnie rękę, powiedział, i radzi, żebym wziął kobietę z czwartą grupą i ją przyuczył. Może choć tokarza z siódmą - prosiłem, ale dyrektor powiedział: nie, tylko kobietę. Bo jak taką pan nauczy, to znaczy, że da się nauczyć każdego i że ten pomysł jest coś wart.

Przydzielili mi kobietę do przyuczenia.

Podszedłem po fajrancie do niej. Pani Alino, mówię, będziemy odtąd razem pracowali. Orientuję się, proszę pana, ona na to... Pani Alino, powiedziałem wtedy, ja przepracowałem w tej fabryce dwadzieścia lat, mój syn urodził się z wadą serca i miał już dwie operacje, a żona nie pracuje. Gdyby pani zechciała nauczyć się - to mógłbym w tej fabryce zostać.

Ona:

Zrobię to tylko przez wzgląd na pańskie dziecko, proszę pana. Tak mu powiedziałam.

On:

Nie miała pojęcia o tej pracy. Minał tydzień i nie zrobiła nic, jednego detalu.

Ona:

To było okropne. To były części jak łebki od szpilki, każdy mikron różnicy dawał luz, a na tym właśnie wszystko polegało: na dokładności i żeby nie było bicia

trzcienia. Myślałam sobie: Boże, przecież ja się tego nie nauczę nigdy i go przeze mnie wyrzuca.

Rano, przed pójściem do fabryki, modliłam się. Ja się zawsze modłę do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy swoimi słowami.

Matko Boska, prosilaam Ja, dopomóż mi opanować ten gwint, spraw, żeby bicia trzcienia nie było...

Zaczęłam się uczyć w lutym. W kwietniu było lepiej trochę. Przy końcu maja mogłam już Matce Boskiej podziękować, a pan Karolak zaprosił mnie w rewanżu na kawę.

On:

Dodali mi teraz pięć osób. Inne czynności były już prostsze, nauczyli się ich w miesiąc i mogliśmy zmontować cały podzespół sami. Był to pierwszy podzespół w historii fabryki (a fabryka istnieje sto lat) zrobiony bez fachowców, z przyuczonymi ludźmi tylko.

Ona:

Pomyślałam - no, cóż, mogę w końcu przyjąć to zaproszenie. Pamiętałam oczywiście, kim jest ten pan, znałam już historię jego romansu - Danka nazywała się ta piegowata, owszem, wysoka, wyższa ode mnie, tylko trochę może za duży biust - wypilaam więc kawę, za koniak podziękowałam i powiedziałam - bardzo mi miło, panie Edwardzie, że mogłam panu pomóc, ja zawsze pomagam ludziom

46

47

chętnie, w końcu jestem mężem zaufania na wu trzy.

On:

Ich było dwudziestu ośmiu: tych fachowców z dziewiątą grupą, jakich w żadnym urzędzie zatrudnienia się nie znajdzie. Latami trzeba ich szkolić, a i to nie każdy się przyjmie do tej roboty.

Tu trzeba mieć inteligencję w ręku. Zaczyna się dziesięciu uczyć, przychodzi trudniejsze strojenie - od razu pięciu odpada, a do końca, do najdelikatniejszych części jak dwóch - trzech dociągnie to wszystko. I nasz podzespół wymagał tylko takich: wybranych. Każdy z nich robił cały podzespół sam, od początku do końca, to była najważniejsza część w produkcji naszej fabryki i jak tylko brakowało jej - przychodził główny inżynier, przychodził dyrektor, przychodził sekretarz partii: "Chcecie nadgodziny? Weźcie. Chcecie premie? Będa". I oni takie prośenie bardzo lubili. Po prostu przepadali za nim. Zostawali w pracy, owszem, robili, ile było trzeba, i mnie się zdaje, że im nawet nie szło o pieniądze. Im szło o to, żeby każdy pamiętał, jacy są ważni i ile zależy właśnie od nich w całej fabryce.

Dyrektor też o tym wiedział. Mówił nieraz: panie Edziu, zrób pan coś, przecież fabryka nie może zależeć od dwudziestu ośmiu ludzi...

Pomyślałem, że może dałoby się cały podzespół podzielić na kilka prostszych części i przyuczyć zwyczajnych pracowników... Powiedziałem tym moim fachowcom, żeby to zrobili ze mną, a oni - eee tam, nikt się tego nie nauczy, to za trudne dla nich (bo wciąż jeszcze myśleli, że są niezastąpieni przy tej robocie).

Dobrze, mówię. To ja spróbuję sam.

Po tygodniu ich znowu zwoluję, żeby powiedzieć, jak podzieliłem części (nie musiałem zresztą tłuma-

czyć długo, przez cały czas obserwowali mnie i już sami rozumieli dobrze, czym to dla nich pachnie) - a jak skończyłem mówić o podzespole, wstał jeden gość i powiada, że pożyczalem klucz od niego. "Jaki klucz?" - pytam. "Klucz od mojego mieszkania. Jak potrzebna ci była chata dla tej Danki z wu jeden. Już może nie pamiętasz?"

Ona:

Badźmy szczerze. W każdej fabryce zdarzają się różne takie historie. Zwłaszcza jak jest stary zakład, zżyta załoga i pracuje się latami razem: to jest po prostu nieuniknione, tylko trzeba dbać, żeby później nie było niesnasków i żeby się to nie odbijało na i produkcji.

U nas, na szlifierni, były trzy małżeństwa, wszystkie trzy rozwiódły się z czasem i ten pierwszy mąż ożenił się z tą drugą żoną, ten drugi mąż z tą trzecią żoną, tylko ta pierwsza została na lodzie, ale wyszła później za mąż za brygadzystę.

Takich rzeczy nigdy nie wywleka się. Po co? To jest niewielkie miasto, wszyscy się znają. Chyba że się chce coś przeciw komuś wykorzystać... I o tej piegowatej, o tej Dance zaczęli mówić wtedy dopiero, kiedy pan Karolak zaczął o podzespółach.

On:

Prawdę mówiąc należało ją zwolnić. Nie żeby nie podobała mi się już, owszem, bardzo zgrabna była - dla mnie zgrabność zawsze jest ważniejsza od urody - tylko zaczęła wykorzystywać, że byłem mistrzem. To chciała łatwiejszej pracy, to wolnych dni, a jako pracownica to była do niczego, tak że faktycznie mieli się czego chwycić. I dyskusja całkiem zeszała z tych podzespółów na Danke i na klucz, i że ja tym kluczem wykorzystywałem moje stanowisko służbowe... Zdjęli mnie z mistrza.

49

48

4 - Sześć odcieni...

Dyrektor powiedział: "Chcę, żeby pan zwolni a ja mogę jedno zrobić - dać panu człowieka bi kwalifikacji, żeby od niego zacząć przyuczanie f podzespółów. Jak okaże się, że można je robić, t będzie to rehabilitacja. Nie uda się - mówi dyrel tor - to będzie pan musiał odejść za niemoralrl prowadzenie się w charakterze majstra..."

Przenieśli mnie.

Dali mi ją do przyuczenia.

Pani Alino, powiedziałem, jeśli pani zechce pomóc...

Ona:

4

Mam trzydzieści osiem lat i dwoje dzieci. Skoi czyłam zasadniczą szkołę metalową, jestem szlifit rzem, z nadgodzinami zarabiam cztery, cztery i pi Chodzę do fryzjera raz w tygodniu, kobieta w wieku musi już o siebie trochę dbać.

Przed wyjściem do fabryki robię makijaż, najbaf

dziej lubię kosmetyki francuskie - puder mat cei

drę za osiemdziesiąt złotych d tusz Coty. i

Mój mąż jest bardzo spokojny, dobry, wszystki!

pieniądze mi oddaje, z dziećmiakami robi lekcje. Tjf

ko nie mam o czym z nim dyskutować. ;

Lubię książki, nad którymi można się wyplakał Zawsze, jak jestem w domu, oglądam

poniedziałkf wy teatr - ale tylko na początku miesiąca, bo p; piętnastym są

godziny nadliczbowe, a ja lubię j; brać w poniedziałek, bo mam wtedy gotowy obii

z niedzieli i dzieci mogą już sobie same przygra

Z panem Karolakiem mogę dyskutować dosłownil o wszystkim...

Na "Ziemi obiecanej" byłam z nim, ta Jędrusil jak jej nie lubiłam kiedyś, tak tu była cudowni, a pan Karolak zwracał mi uwagę na te stosun społeczne...

On:

Zostałem brygadzystą.

Zwrócono mi legitymację i zaliczono staż.



|cę do mamyj mamL)j mówię! tato wisi w łazience na kiego czegoś jeszcze żeśmy nie mieli. Ale mnie, nif^^ od żeiazka. Ee, mówi mama, tata nas tylko stety, interesuje tylko zięć i pan Lonio markotniej nastraszyć. więc ieCę jeszcze raz i widzę -

- Chciawszy tę sprawę ruszyć, to wolałbym b|w kącikach ust ma już pianę, ale malutko tej piany, z daleka - zaznacza. jmówię - no wisi, mamó. To mama w płacz, sąsiedzi Bo i co mógłby dobrego powiedzieć o kimś, kfw krzyk i dopiero Józiek Latek z jeszcze dwoma brał Elkę i dwa namioty i z kolegami rozkładiprzybiegii) odcięli go i zawieźli do szpitala, się - a to w Końskich Dołach, a to w zdieszk Sąsiadka państwa Gajów, pani Rudasiowa, nawet wickim lesie, jako ojciec nie mógł pozwolić na tai yszaja wtedy, że kogoś niosa, ale nie otworzyła wstyd, brał więc milicję i ORMÓ, lecz cóż, taą zwi; myślała, że to tylko pan Barański dostał

52

53

czwartego zawału. A tu mówią jej, że nie, bo Gi się wieszał. Ho, ho - pomyślała sobie wtedy pai Rudaś, która nie bardzo lubiła pana Gaja, odką jej mąż miał przez pana Gaja kolegium. Pan G użył wtedy takich słów, za które u nas, w Wadl wicach, to zaraz można było dostać nożem albo kd kiem, albo siekierką czy czymkolwiek - i nic dzh nego, że pan Rudaś, zbrojarz - murarz z zawodi usłyszawszy te słowa, posłał córkę po szwagi i krzyknął: "Janek, zabierz go albo go zatłukę!" M i szwagier go zabrał.

- Nigdy w życiu - mówi pani Rudasiowa n to. - Ty nie pamiętasz. Przecież wróciłam z drugi zmiany, a wyście się jeszcze obadwa tłukli. Dopiei milicja przyszła, mówi - Rudaś, uspokój się - i się uspokoiłeś. Dorażny ci mieli robić, ale tylko d: pięćset przed kolegium plus sto pięćdziesiąt k< tów.

Tak że cała klatka słyszała, jak pana Gaja odci| tego niosa, i pani Gajowa poszła z płaczem do doktol' ra dowiedzieć się, czy będzie żył. A doktor mówi -j jeśli wisiał dłużej niż pięć minut, to szykujcie si| na żałobę. A przecież wisiał znacznie dłużej. Wił zaczęły się szykować i mamusia nabrała dla siostrf Elki czarnego na płaszczyk, i jeszcze krawcową po ganiała, żeby szybciej, a Elka przymierzyła swó mundurek szkolny, taki ciemny granat, czarny prą wie, czy nie za krótki. Mundurek jeszcze dobry by! no i czekają. ?

Dzwoni Elka do szpitala pierwszego dnia - tatf

żyje. j F'

Dzwoni drugiego dnia - żyje. '

Dzwoni trzeciego dnia - a pielęgniarka mówi, że ( pacjent odzyskał przytomność i czy prosić go dt telefonu.

Elka aż się zatrzęsała ze strachu, ale mówi spokojnie: "to ja, tato, twoja córka, Elżbieta Gaj". "A mama gdzie?" - pyta pan Gaj. "W domu". "A ty kto?" "Twoja córka". "A mama gdzie?" "W domu". Jak piąty raz zapytał: "A ty kto?" - Elka rzuciła słuchawkę i poleciała do mamy z krzykiem: "Mamo, jeszcze gorzej, on żyje, ale zgłupł!"

Leżał potem w szpitalu kilka miesięcy, zanim go podleczyli. No i od tamtej pory właśnie - jak mówi Elka - stosunki z Wojtkiem jakoś się popsuly. Nie tylko o ślubie już mowy nie było, ale nawet i o czarnej porzeczce. Wojtek rozpił się na dobre, tak że podobnie jak teścio Eli chorował na nerki i bali się nawet, żeby i jemu mocz na organizm nie poszła.



Wojtek - kiedy nie pije - jest ideał. Wszystko zrobi w kuchni i przy dziecku i Elka może położyć się i spokojnie wypalić papierosa, ale jak po wódce odbije mu, to już, o Matko Święta, to i ją tłucze, i sam się chce rżnąć - bo to raz sobie żyły podcinał?

Joasia ma trzeci rok, ale dopiero teraz wzięli ślub cywilny: nie mieli lat, a rodzice nie chcieli dać zgody.

Joasia urodziła się, kiedy Elka skończyła siedem-naście, ale nie urodziła się z przypadku.

- Chcieliśmy mieć dziecko - mówi Ela. - Wiedzieliśmy, że i tak weźmiemy kiedyś ślub i będziemy razem.

Czy nikt nie dokuczał jej - pytam, ale Elka się dziwi.

- U nas? Na Fabrycznym? A dlaczego?

Może tej pierwszej, kiedyś tam, dokuczali, ale nie dziś. Ileż to dziewcząt wychowuje teraz dzieci bez mężów. Taka Marchoń Zośka i Zośka Jagodzińska, i Ewka Śliwa - to tylko stąd, z naszych bloków.

54

55

I żadna nie była od Ełki starsza przecież, a niektóre jeszcze młodsze. Tak że jak trzeba potem załatwiać ślub - to wszystko idzie przez sąd, za zgodą rodziców, a zresztą niektóre to wcale nie chciały brać ślubu. Taka Zośka, była w ciąży i on nie chciał się żenić, zgodził się dopiero, jak urodziła, to ona wtedy - nie, jak chodziłam w ciąży, był czas na żenienie, a teraz za późno - tak mu powiedziała. I miała rację. Fabryka dała jej pokój w hotelu, załatwiła żłobek - to co, to Zośka nie da sobie rady sama?

Elce też fabryka żłobek załatwiła - tu wszyscy pracują w tej jednej fabryce łożysk, wszyscy w całym Fabrycznym, i te dziewczyny z dziećmi, i ich chłopcy, i mężowie, i rodzice, i ciotki. Kraśnik Fabryczny ma piętnaście tysięcy ludzi, a fabryka - siedem i pół tysiąca, tak że nie ma rodziny, z której by parę osób w łożyskach nie pracowało,

Elka jest dogładzarką. Wkłada w swoją maszynę, zwaną kobyłą, pierścienie, na które leci nafta, pierścienie się dogładzają, a Elka ma za to dwa pięćset, dwa osiemset, a w marcu miała nawet trzy. Kierownik, inżynier Podlasiński, mówi, że Elka jest szlifierzem, ale ona o tym nawet nie wie, dyrektor ekonomiczny, mgr Knyś, sięga po kartę Ełki i widzi, że w marcu miała premię za efektywność eksportu, ale Elka i o tym nie słyszała. Bowiem życie Ełki toczy się po zupełnie innych orbitach niż życie dyrektora ekonomicznego. Dyrektor mówi o eksporcie do pięćdziesięciu dwóch krajów, ona zaś opowiada, że na ich gnieździe pracuje taki jeden, nazywa się, pan Staś, który mówi: "Elka, tyle panienek tu jest, umówiłabyś mnie z którą" - i Elka przedstawia mu po kolei różne dziewczyny, a że'dna o pozostałych nie wie i każda pyta pana Stasia, czy to prawda, że ją właśnie chciał zapoznać.

- No, mówię pani - kończy Elka pękając z śmiechu na samo wspomnienie wczorajszej sceny -ale komy.

Pan inżynier Podlasiński, kierownik, był kiedy robotnikiem na dogładzarkach jak i Elka. Ale potem skończył wieczorowe technikum. Potem WSI. Potem został kierownikiem, teraz myśli o magisterium i dy rektor ekonomiczny daje mi do zrozumienia, że ti jest droga warta pokazania naszym czytelnikom. M; rację. Tylko że moja bohaterka, Elżbieta Gaj, wcali o technikum nie myśli. Elce jest dobrze tak, jak jest i jej sześciuset kolegom na wydziale jest widać do brze - bo z sześciuset, z których większość mi ledwie podstawowe wykształcenie, tylko dwunasti uczy się nadal. Ba, kiedy trzeba na Spartakiadi skompletować drużynę siatkówki z wu trzynaście to - wstyd powiedzieć - pan Podlasiński, czterdziestoletni, musi też w niej grać z braku młodszych

Zatai, jak mówię, Elce jest pierwszorzędnie i tak bardzo zgrane mają towarzystwo na gnieździe i Elk< tu lubią, nikt na przykład nie powie zwyczajni\* "Elka" na nią, tylko trzpiotka albo niunia, albo laleczka, a to znaczy przecież, że lubią, no nie tak'

Wiec Elka by stąd nie odeszła za nic. Mimo nafty od której mają krosty na ciele - przez co nie można nosić mini (na szczęście obecna moda jest lepsza noszą długie spódnice, spod których zupełnie nie widać krost) - nie odeszłyby, bo całe jej życie związane jest z fabryką, wszystko dobre i wszystko złe, i nawet Jolka, ta, z którą Wojtek ją zdradził i przez którą całe nieszczęście się zdarzyło, nawet Jolka pracuje w fabryce i on z fabryki do domu odprowadzał ją - co wszyscy, z całego wydziału wu trzymaście doskonale widzieli i czego najbardziej nie może mu darować do dzisiaj.

56

57

Od ślubu Elka mieszka z teściową. Pokój przegrodziły sobie kretonem w kwiatki, po jednej stronie kretonu śpi teściowa, po drugiej ona z Asią, no i spałby Wojtek, gdyby nie siedział.

Elka nie wiedziała, że przyjadę, więc przeprosza za nieporządek - bluzka z jasnoseledynowej krem-pliny leży na krześle, to jest zresztą góra od kostiumu ślubnego, nie mogła przecież brać ślubu w sukni białej w więzieniu, tym bardziej że jechała do Lublina autobusem PKS. I w gruncie rzeczy - to było najboleśniej. (Po raz pierwszy oczy Elki czerwienieją). To, że nie miała sukni ni portretu ślubnego. Zamiast zdjęcia jest ten obrazek, który im kolega narysował. A suknię to sobie wymarzyła kiedyś długą, dopasowaną w talii, z perełkami przy szyi, Wojtek zaś miał być w garniturze z elastoru w kolorze fiolet. Tymczasem musiała sobie uszyć ten kostium-mik, skromniutki, aby ze stójeczka, a Wojtek miał ubranie pożyczone od kolegów.

Ślub był bardzo przyjemny zresztą, kierownik stanu cywilnego zadzwonił do więziennej bramy, strażnik uchylił okienko. "Ze ślubem idziemy" - powiedział kierownik i wpuszczono ich na świetlicę. Tu kierownik wyjął z aktówki łańcuch z orłem, papiery, sutanny nie miał - oj, co ja plotę - śmieje się Elka - jaka sutanna, i bardzo ładne życzenia składał im, żeby byli razem jak najprędzej, już w domu.

Obrączki kupiła z tombaku, po sto złotych, na bazarze w Lublinie. A - co najważniejsze - to że te pożyczone spodnie Wojtka były fioletowe. Wojtek opowiada mi potem, że je pożyczył od kolegi z celi, który jest najlepiej ubrany w całym areszcie, bo pracował w Federacji Jazzowej jako impresario i siedzi za nadużycia. Marynarkę miał od innego kolegi, który dostał się tu za kieszeń, wózek i trzydzieści

cztery tysiące z torby damskiej. Krawat zaś - ex jeszcze innego, który siedział trzy lata, wyszedł, by siedemdziesiąt dwie godziny na wolności i wróci znowu na trzy lata, bo w tej krótkiej siedemdziesięciogodzinnej przerwie zaszedł do lokalu.

Wojtek siedzi pod zarzutem usiłowania zabici; "swojej kochanki Elżbiety Gaj". Prokurator pokazuje mi długi kuchenny nóż marki Gerlach ze śladami krwi, zdjęcie pokaleczone Elżbiety Gaj oraz jej zeznania, z których jasno wynika, że najpierw czajnikiem ją uderzył, a potem przyleciał za nią do łazienki z nożem i chciał zabić

- To dlaczego po tym wszystkim wyszła za nie go? - pytam.

- Nie wiem - mówi prokurator. - Nie wnikał w to, wyraziliśmy jedynie zgodę na tę czynność prawną.

Wojtek mówi, że gdyby nie więzienie, pojechaliby z Elka do Puław i tam zaczęli nowe życie. Może te: tę czarną porzeczkę na maczonym polu hodowaliby

- Dlaczego czarna?

- Dlatego, że jest do hodowli najlepsza. Czerwo na ludzkie lubią i by się nie utrzymała. A czarne u nas nikt nie lubi i można nawet bez opieki ji zostawić. Jak się żyło w Fabrycznym?

Stało się, powiada Wojtek, po pracy, pod "kultu rą" (Domem Kultury), milicjant przychodził, mó wił - nie róbcie zgrupowań, to się brało wino z; dwadzieścia trzy i szło się do lasu. Po winie wrą cali z powrotem, bo człowiek się wtedy mniej bał szło się do "Zacisza", kogoś się potraćilo, dostali się pała i szło się spać.

Najgęściej jest pod "kulturą" przed dziesiątym bo pieniędzy już nie ma, to człowiek stanie i stoi

58

A po dziesiątym można iść do "Zacisza" i usiąść. Albo z butelką do lasu.

-. A przed dziesiątym, bez butelki, nie można iść do lasu? - pytam, a Wojtek aż się śmieje:

- Do lasu? Jak się nie ma z czym?

Elka odprowadza mnie z Fabrycznego do hotelu "Saturn". Hotel jest w Lubelskiem, a to już całkiem inny Kraśnik. W Fabrycznym wszyscy Elkę znają i ona ich zna, cześć, Dziunia, woła, co to, robiłaś dziś na pierwszą zmianę? Albo - Łuska, siostra napisała? - bo jak pobierali do pracy w Czechosłowacji, to siostra Łuski tam się dostała. Im bardziej zaś od Fabrycznego się oddalamy, tym mniej znajomych, ale za to możemy swobodniej rozmawiać. Rozmawiamy więc o tamtej kłótni, zakończonej tak tragicznie, ponieważ Elka, jak zawsze, zaczęła krzyczeć o Joli; że wszyscy widzieli ich w objęciach, cały Fabryczny, a obce kobiety podchodziły do niej i mówiły: "pani Elżbieto, pani już wie, że on z tą [• blondyną?" Ona zresztą podeszła do nich raz, na J ulicy, żeby swoje ja pokazać, powiedziała: "Chciałabym zobaczyć moją rywalkę" - tylko tyle, i dała \

h

mu po buzi.

I kiedy tamtego dnia znów pokłócili się i ona zaczęła o Jolce, on, podпиты, dał jej czajnikiem w głowę, bo właśnie nastawiał herbatę, a jak się myła, to przyleciał z nożem, bo właśnie nakroił kiełbasy do jajecznicy, krzyczał, że skończy z sobą, i zaczął podcinać sobie żyły, wtedy ona wyrwała mu nóż, sama się przy tym pokaleczyła, a później ociekającego krwią zawlokła do szpitala.

Stajemy na skrzyżowaniu. To przystanek fabryczny. Wsiadają ci, co mają trzecią zmianę dzisiaj, j i oddalają się w stronę gęstych, ciemnozielonych f drzew, za którymi jest fabryka. Autobus pustoszeje.

- Pani Elżbieto - mówię. - Przecież w śledztwie zeznała pani całkiem inaczej.

- Zeznałam - zgadza się Elka. - Chciałam się zemścić. Na Nowy Rok, jak się awanturował, powiedziałam mu: "Czekaj, ja płacę dziś, a ty będziesz cały rok płakał". I kiedy zobaczyłam prokuratora, pomyślałam - no, to już ja się teraz za tę Jolkę zemszczę. I wydaje mi się, że się zemściłam - jak pani myśli?

- Myślę, że się pani zemściła - zgadzam się z Ela i wsiadamy z autobusu. - Skoro mąż od pół roku niewinnie siedzi...

- A siedzi - powiada Elka w zamyśleniu. - Ale już wybaczyłam mu. I on mi wybaczył. Dlatego wzięliśmy ślub. To teraz pójdę, zmienię zeznania i wyznam całą prawdę. Bo - widzi pani - ja wiem, że to jest kawał drania i na cały Fabryczny awanturuje się. Ale to był pierwszy chłopiec, którego miłością obdarzyłam. I co by to było za życie bez niego? No - co?

60

## MIŁOŚĆ ZA PÓLTORA MILIONA

W dniu rozprawy budzi się ich wcześniej, ale ona wstaje przed wszystkimi, nad ranem, bo musi jeszcze włosy nakręcić i zrobić makijaż. Panie z celi pożyczają jej wałki i lakier i pomagają się umalować, a służba więzienna patrzy na takie Uzczy przez palce. Nie wolno mieć kosmetyków przy sobie, ale każdy rozumie przecież, że chce się na tej sali rozpraw wyglądać jak człowiek.

Panie z celi czeszą ją w loki i pożyczają swoje sweterki "przywiezione z Węgier, bukły, z haftowanymi kwiatuśkami. - A pani była na Węgrzech? - pytają ją. Nie, mówi. Nie była. A w Bułgarii? - pyta druga z pań. Też nie. A w Sopocie? Więc już zaczynają się śmiać. Poważnie to mówi? Nigdy w życiu nie widziała morza? A później wychodzi na jaw jeszcze i to, że nie była w Warszawie. No to gdzie była? W Załęku była i we Wrocławiu. We Wrocławiu zresztą dopiero jak ją aresztowano. To te panie przestały się śmiać i mówią jej, że ona w ogóle żyć nie potrafi i co z tego życia ma właściwie.

Wtedy ona - pod wpływem tych pań ze wspólnej celi - zaczyna zastanawiać się nad swoim życiem. Bo co miała dotąd? Miała tak: wstawanie o czwartej, dojenie ranne, gotowanie śniadania dla męża i dzieci, z których młodsze spało po ich stronie kre-tonowej zasłony, a starsze po drugiej, z jej matką na jednym łóżku. Następnie miała pięć kilometrów

do stacji. Pracę w zakładzie. Zakupy w kiosku fabrycznym, powrót - znowu pięć kilometrów. Mężowi, dzieciom i krowie trzeba było dać jeść i coś zrobić przy burakach albo ziemniakach, albo po-prać, albo obszyć - przez dziesięć lat wzięła tylko dwa razy cały urlop: jak była na macierzyńskim. Resztę zużywała na pracę w polu albo choroby dzieci, po dwa, po trzy dni.

Na dłużej niż jeden dzień nie wyjechała ze wsi nigdy, ani razu, przez całe trzydzieści lat. To te panie z celi miały prawo się zdziwić: bo i na cóż osobie, która nie ma pojęcia o tym, jak należy żyć, potrzebny jest milion złotych? Może to było tak:

On wszedł do ich pokoju, do księgowości, i nie zwrócił się do żadnej z siedzących tam pań (lepiej przecież ubranych i staranniej zrobionych od niej), tylko od razu ją zapytał, gdzie może być główny księgowy. A kiedy weszła z raportem kasowym do jego gabinetu - powiedział: ślicznie dziś pani wygląda, pani Basiu. A w kolejce do kiosku z żywnością szepnął - może byśmy wyskoczyli sobie gdzieś?

Wróciła z "Piekiełka" (pojechali jego kremową skodą), później niż przyjeżdżał ostatni PKS, powiedziała więc w domu, że musiała robić bilans.

Po powrocie z "Oazy" tłumaczyła się wypłatą.

Gdy wróciła z jego mieszkania - mówiła, że była z Zakładem na czynie społecznym przy budowie obwodnicy...

Znano go w całym Miasteczku. Był dyrektorem największych zakładów - Miasteczko ma cztery tysiące ludzi, Zakład tysiąc, więc z każdej rodziny i z każdej okolicznej wsi ktoś tutaj pracuje, a nad

62

63

tymi wszystkimi, miejskimi i wiejskimi ludźmi by! właśnie on.

On jest wysoki, czarny, nosił zagraniczne, dżerse-jowe wdzianka zapinane na zamek błyskawiczny i mógł wszystko.

Mieli im zamknąć Zakład, bo zatruwał rzekę - to on załatwił nowy asortyment, mniej trujący, i Zakład pozostał.

Pokazywał się w sklepie drugi gatunek dywanów, po dwa z czymś (pierwszy był po siedem) - to OD potrafił załatwić taki dywan.

Pokazywało się linoleum wyglądające zupełnie klepka - on pomógł kupić linoleum.

- Nie widziałam świata poza nim - mówi mi. -To było takie odetchnienie od wszystkiego...

Przychodziła do jego służbowego mieszkania. Prosił, żeby posiedziała i odpoczęła sobie, a on krzątał się koło niej i smażył jajecznicę. Miał zawsze dużo świeżych jaj, bo na podwórku, za Zakładem, trzy mały kury, sto kur, którym rano gotował kartofle, a wieczorem dawał pszenicę i miał z tego codziennie dwa mendle, które sprzedawał na targu. ("Sylwetkę moją cechowała troska o zakład i o te kury" - mówił mi). I otóż on, dyrektor Zakładu, największego w całym Miasteczku, osobiście robił jej tę jajecznicę, pytał, czy głowa już mniej boli, i powtarzał, że z żadną kobietą nie przeżył tego, co z nią. j-  
- Czy pani wie, jak wyglądała miłość z mężem, kiedy za zasłoną śpi matka i starszy dzieciak? - mówiła w przerwie, gdy sędzia zezwolił nam na rozmowę, a milicjanci z konwoju dyskretnie się oddali. - No, to nie może pani wiedzieć, czym był ten; Dyrektor dla mnie... !

Ponieważ tak bardzo kochał ją i już mówił co: o rozwodzie (żona nie sprowadziła się jeszcze do f Miasteczka) - wyznała mu, że w kasie agencji PKO1

którą prowadziła w Zakładzie, brakuje sto tysięcy złotych. Gdyby wyznała o tym w prokuraturze - sprawę na mocy amnestii umorzono by. Ponieważ powiedziała o tym Dyrektorowi - do prokuratora już nie poszła, bo Dyrektor uspokoił ją: właśnie buduje sobie dom, jak tylko skończy, sprzeda go za co najmniej siedemset tysięcy, spłaci wtedy jej dług, a za resztę rozpoczną nowe, wspólne życie. Niestety, do zakończenia domu brakowało Dyrektorowi pięciu tysięcy. Czy mogłaby - zapytała - pożyczyć mu tę kwotę, to szybciej dom zbuduje, spłaci jej dług i wcześniej będą mogli się połączyć...

Oczywiście, pożyczyła, ale zaraz potem zabrakło mu pięciu tysięcy do fundamentów. Potem dla robotników do wypłaty, potem do stolarki...

Czasem tłumaczyła, że nie może brać tyle z kasy PKO - ale on wtedy smutniał i mówił, że wobec tego przerwie budowę i nie spłaci jej zadłużeń, które wynosiły już czterysta, pięćset, siedemset tysięcy... Więc oczywiście znów mu dawała, raz nawet czterdzieści tysięcy od razu - to już na roboty wykończeniowe. W sumie, przez ponad trzy lata miłości do Dyrektora ukradła z kasy PKO milion dwieście tysięcy złotych. Z czego osiemset tysięcy dała jemu, część wzięła koleżanka, oskarżona teraz wraz z nią, a dziesiątki tysięcy - poszły na łapówki dla kierowników oddziałów PKO, oskarżonych w procesie, który już się rozpoczął. Postępowała tak: ktoś wpłacał na PKO pieniądze, ona wpisywała je na książeczkę, ale nie odsyłała do banku. Musiała oczywiście związać tych ludzi ze swoją agencją, żeby nie chcieli podjąć oszczędności gdzie indziej, mówiła więc, że jeśli będą wpłacać i podejmować tylko u niej, to mają prawo do większych odsetek i do premii. Premie te - po pięćset,

64

65

5 - Sześć odcieni,...

tysiąc złotych - wypłacała im dwa razy do roku, pracownicy zakładu chętnie więc podpisywali odpowiednią deklarację i trzymali się agencji PKO numer czterysta szesnaście.

Czasami zdarzały się niespodzianki. Ludzie próbowali podjąć pieniądze w oddziale terenowym - i zaraz miała stamtąd telefon: jest sfałszowana książeczka,

zwrócimy, jeśli... Wiozła wtedy pospiesznie pięćdziesiąt tysięcy złotych, wręczała osobie stojącej przed wejściem do PKO, otrzymywała książeczkę w zamian i wracała do Miasteczka.

Tak zeznaje Księgowa przed sądem, ale Dyrektor mówi, że to nieprawda.

Dyrektor mówi, że jego pradziad był pułkownikiem wojsk tatarskich za czasów Jana Kazimierza, dostał w nagrodę wieś Miśgiery i został starostą sło-nimskim, z tą panią nic go nie mogło łączyć, bliżej nie znał jej nawet, jedyną jego troską było zawsze przebranzowienie zakładu, podobnie jak dziś żyje stawem osadowym dla Zagłębia Miedzi i ma nadzieję, że uda mu się go zbudować przed terminem.

Więc może to w ogóle nieprawda, co opowiada ta Księgowa.

Może to było tak:

On - Dyrektor (brunet, jak pamiętamy, wysoki, ' który może wszystko) ona - przygruba, zaniedbana, ze wsi,

on wchodzi czasem do ich pokoju spytać, gdzie główny księgowy, ale na nią nie spojrzy nawet,

ona w nim się skrycie kocha, a całą historię z romansem, "Piekielkiem" i jajecznicą smażoną w jego mieszkaniu wymyśla sobie po nocach, za tą kretonową zasłoną...

Jadę więc do aresztu, żeby zapytać, jak wyglądał

pokój Dyrektora (bo Dyrektor powiada, że nie byh u niego nigdy) i już wiem, że pośrodku stał stół okno było na wprost drzwi, naprzeciwko szafy tapczan. Na tapczanie leżał koc, koc - nie narzuta Szorstki, chyba w pasy. Meble były zniszczone.

Miasteczko jest piękne, leży w kotlinie górskiej nad rzeką, w rynku stoi wielki kościół, a na ołtarzu wysoko, jest mała, drewniana figurka. Wyrzeźbion. przez bezimiennego ślepcę dziewięćset lat temu, fl gura Matki Boskiej, która czyni cuda. Już w 1630 roku sporządzono pierwszy ich rejestr i od tamtej pory ta cudowna moc działa nieprzerwanie. Ludzie zjeżdżają z całej Polski tutaj ze swymi prośbami przyszła więc do cudownej figury Księgowa na tydzień przed aresztowaniem.

Był to dzień, w którym Dyrektor jej powiedział że dom jest wybudowany, ma na niego nawet kupca, tylko kupiec nie ma jeszcze wszystkich pieniędzy. Modliła się więc, żeby ów kupiec zdobył pieniądze albo żeby ona wylosowała sześć cyfr z dziesięciu, które skreśliła, bo grała systemem, za 420 złotych, i szansa była naprawdę wielka.

Niestety, Matka Boska nie dała ani kupcowi pieniędzy, ani jej szóstki - co do kupca jednak to nie można się dziwić, tu najcudowniejsza figura nic zdziałać by nie mogła, ponieważ nie tylko kupca w ogóle nie było, ale, jak się miało już niebawem okazać, nie było także i domu.,

Idę do Urzędu Gminnego w Miasteczku. Miasto, mówią mi, dynamicznie się obecnie rozwija. Powstanie wielkie sztuczne jezioro - jednym słowem, są możliwości, jakich nigdy Miasteczko nie miało dotąd...

W Zakładzie jest nowy dyrektor. Rzeczowy:

- Proszę mi tylko powiedzieć -r- pyta o poprzed-

nika - chwyci wyrok? Bo jak nie chwyci, to trzeba będzie płacić za czas aresztu. Przychodzi ikierownik działu gospodarczego. Powinien najlepiej pamiętać tamto mieszkanie, bo meble były służbowe. Na wprost drzwi było okno, mówi kierownik, meble stare: stół, szafa, naprzeciw szafy tapczan, na tapczanie koc, na pewno koc, nie narzuta...

Więc może Księgowa wymyśliła sobie całą tę miłość po nocach, za kretonową zasłoną, tylko skąd wie, jak wyglądał pokój?

Albo może to było tak:

Brunet - ,,jak ładnie pani wygląda dziś..." i tak dalej, to wszystko bez zmian, tyle tylko, że ona nie dawała mu żadnych pieniędzy. Ona romansowała z nim, bo

upatrzyła go sobie zawczasu na ofiarę, dzięki której złagodzi o dobre dziesięć lat wiszący nad nią wyrok...

Bardzo możliwe, jednak powinna była przygotować sobie przyszłych świadków. Nie zrobiła tego i o jej romansie nie wiedział nikt. I poza tym - gdzie jest skradziony przez nią w całości milion?

Sprawdzono wszystkie mieszkania i wszystkie książeczki oszczędnościowe, i tryb życia wszystkich jej krewnych w całej Polsce. Sprawdzono jej wydatki w ciągu kilku ostatnich lat. Są to: żywność, lekarstwa dla chorego dziecka, taksówki do lekarza i cztery sukienki z krempliny. To wszystko.

Dlaczego - pytałam ją - skoro tyle wzięła, nie kupiła sobie rzeczy kosztownych: biżuterii, futer... Mówi, że nie miała tyle pieniędzy. Większe kwoty dawała Dyrektorowi, dla siebie brała po sto, dwieście złotych. Kupowała wtedy jedzenie - a na jedno tylko śniadanie w ich domu wychodziło całe kilo

żółtego sera, bo poza nią, jej mężem, dziećmi i ro dzicami było jeszcze do niedawna pięcioro młod szych braci i sióstr i dzieci jednej siostry - wie ile osób - pytam - trzeba by policzyć - mówi - czternaście chyba, nie, zaraz...

Jak już wzięła więcej - siedemset czy osiemse złotych - to starczało akurat na kremplinę, któr sprzedawano w Miasteczku po osiemset złotych z metr.

Miała więc cztery sukienki kremplinowe. Niebie ską, czerwoną, seledynową i różową. Do pracy przy chodziła czasem w tej niebieskiej, ale inne oszczę dzała bardzo i zakładała tylko na spotkania z Dyrektorem.

Dyrektor zwolniony z aresztu buduje staw osado wy w Zagłębiu Miedziowym i chodzi mu, jak ju mówiłam, tylko o to, by oddać go do użytku przei terminem.

Nowy dyrektor Zakładu przymierza się do mo dernizacji kolejnej maszyny.

Wiesz, w której mieszkała Księgowa, zostanie nie bawem zalana. To właśnie tu powstanie zbiornik o którym mówiono mi w Urzędzie Gminnym i któr; przysporzy uroków turystycznych całej okolicy.

Już wymierzono gospodarstwa. Wszyscy mówią, że państwo da ludziom wysokie odszkodowania, każd; więc stara się dokupić trochę ziemi. Dwa lata temi płacono dwadzieścia osiem tysięcy za hektar, dzi już blisko pięćdziesiąt...

Kiedy wody zalewu zatopią tę ziemię, zamkną sii i nad Księgową, bo wtedy nie będzie jej już, póź; więzieniem, nigdzie. Nawet w plotkach i pamięć wsi.

## MILIONERZY

- CZYLI O BYTOWANIU SZCZĘŚLIWYM

Niektórzy zarzucają toto-lotkowi i loterii, że są niemoralne, bo rozbudzają hazard. Inni uważają za niemoralne tylko gry liczbowe. Car Mikołaj na przykład "mając na względzie szkodliwe skutki na moralność klasy uboższej i przemysłowcy z loteryi liczbowej w Królestwie Polskiem spływające", postanowił, że "z dniem 19 grudnia 1839 r. loterya ma być uchyloną". A znów dyrektor totalizatora mówi, że nie można chyba wątpić o moralności toto-lotka, skoro cieszy się poparciem władz.

- Przecież władza nie mogłaby popierać czegoś niemoralnego. Zatem - konkluduje logicznie dyrektor - toto-lotek jest moralny.

Przekrój społeczny milionerów jest - jak wynika z informacji posiadanych przez dyrekcję totalizatora - prawidłowy. Przeważają zdecydowanie robotnicy i chłopi, a i cel, na jaki przeznaczają pieniądze, godny jest ze wszech miar aprobaty społecznej. Ogromna większość wydaje fortunę na domek, samochód i meble. Raz tylko zdarzyło się, że człowiek kupił sobie kamienicę (mamusia zawsze powtarzała mu: nie ma to jak kamienica, w pięć lat zarobi z czynszów na drugą). Nowy kamienicznik nie psuje jednak składu społecznego milionerów, nie przestał bowiem być robotnikiem Zakładów im. Bojowników

Rewolucji 1905 roku. Na odwrót, wnosi stare rewolucyjne tradycje: pochodzi z rodziny zasłużonej dla ruchu robotniczego Pabianic. U siostry ciotecznej

odbywały się podczas wojny zebrania PPR, siostrzenica była sekretarzem komitetu, a brat miał podczas strajku 1933 roku przestrzelony płaszcz.

Żeby móc wprowadzić się do swojej kamienicy, milioner musiał jeszcze dokupić mieszkanie zastępcze dla jednej z rodzin. Resztę pieniędzy przeznaczył dla zasłużonych krewnych: żona dała w kopercie to, co się ciotecznej siostrze i siostrzenicy należało, zaś bratu sam wręczył kupon czystej, bielskiej wełny. Większość milionerów zatem powiększa przede wszystkim swój metraż. Kiedy więc dyrekcja totalizatora wysłała moje pytania do milionerów (nie mogłam tego sama zrobić, bo adresy są tajemnicą), listy wróciły z adnotacjami: adresat nieznany. Wszyscy zmienili mieszkanie, a ślady zatarli za sobą dość dokładnie. Milionerzy odbierają swoje pieniądze ze spokojem, a nawet godnością. Odbierają je tak, jakby byli do dużych pieniędzy przyzwyczajeni, a przecież nie są. Nie tracą głowy. Na pytanie - czekiem, gotówką czy na książeczkę? - odpowiadają zawsze: - Gotówką. Przeliczają od razu na miejscu paczki banknotów przyniesione z banku, trwa to około siedemnastu minut, bo trzeba przeliczyć tysiąc banknotów tysiąc złotych (nie było jeszcze wypadku, by ktoś nie liczył, choć paczki są opieczętowane przez bank). Potem idą do PKO i wpłacają na książeczkę. W dyrekcji Loterii Państwowej jest zresztą do kasy specjalne przejście, by nie trzeba było na ulicę wychodzić.

Od milionerów nie wolno pracownikom toto-lotka i loterii przyjmować poczęstunków ni darów. Naj-

71

70

wyżej - kwiaty. Ale zakaz ten jest zupełnie zbędny, bo i kwiatów też milionerzy nie wręczają. Po prostu - nie są rozrzutni. Na odwrót. Są rozsądni od pierwszych chwil. Na sierotki, które wyciągają losy (nie są to sierotki prawdziwe, oczywiście, tylko społeczne, z domu dziecka) - dają po 25 złotych, nie więcej. I raz tylko się zdarzyło, że milioner zareagował na prośbę nadesłaną do dyrekcji - kupił komuś wózek inwalidzki za pięć tysięcy.

Zatem milionerowi przystoi powściągliwy sposób bycia - godny i roztropny zarazem.

Większość wygrywających prosi o zaświadczenia - co jest zrozumiałe. Trzeba będzie może wytłumaczyć się przed wydziałem finansowym ze źródeł nagłego bogactwa.

Te zaświadczenia są delikatną sprawą. Próbowali je zdobyć ludzie, którym potrzebne było alibi do nielegalnych zysków, i wtedy cena dokumentu dochodziła do stu tysięcy. Ale loteria bardzo dba, by wszystko odbywało się w sposób nie budzący najlżejszych podejrzeń. W końcu istnieje 200 lat i nie zdarzył się jeszcze wypadek oszustwa wśród pracowników. Przeciwnie. Sprawy traktowano tu zawsze z największą powagą i odwoływano się do najwyższych autorytetów. W umowie z 1839 roku o wydzierżawienie loterii, zawartej między panami Hermanem Epsteinem i Salezjanem Jakubowskim, ; ustalono, że rozjemcą w wypadkach spornych będzie hrabia Henryk Łubieński. A gdy jeden ze współników nie wywiązał się z jakiegoś zobowiązania, drugi napomniął go surowo listem zaczynającym się tak: "Panie Jakubowski. Zawsze i wszystko lekko traktując nic Pan porządkować nie chcesz, ja zaś lubią wszystko mieć w porządku..." No więc dyrektor Państwowego Monopolu Loteryjnego, który również lubi wszystko mieć w porządku, zaświadczenia każe

teraz wydawać w obecności czterech najbardziej godnych zaufania osób, a tak jest skrupulatny, że nawet na ubranka luźne dla sierotek zgodzić się nie chce.

- Za dużo jest w tych strojach kieszonek i innych zakamarków, a tego nasi klienci bardzo nie lubią.



Jak wygrać milion?

Jedna pani mówi, że miała objawienie. Ukazała się jej Matka Boska i podyktowała całą szóstkę. A jeden pan, Roman S. z Malborka, przez dziesięć lat pracował nad książką "Jak wygrać - wszystko o grach liczbowych", której kopię uprzejmie mi nadesłał. Praca zawiera część teoretyczną i kilkaset tabel,- a co najważniejsze - 180 układów, czyli schematów wypełniania kuponów.

Informuję bezstronnie, że pierwszy z podanych sposobów już się sprawdził. Ta pani od objawienia naprawdę wygrała milion.

Profesor Stefan Nowak, socjolog, pisał, że "przy kreśleniu przyszłościowego ideału osiągnięć trzeba sięgnąć odważnie do najgłębszych marzeń ludzkości o szczęśliwym bytowaniu..." A przecież każdego roku kilkudziesięciu ludzi może zrealizować swoje marzenia o bytowaniu szczęśliwym. W każdym razie tę ich cząstkę, którą da się zrealizować dzięki pieniądзом. Jest to, jak sędzę, cząstka niemała.

Chcąc zatem dowiedzieć się czegoś bliższego o owych najgłębszych marzeniach, postanowiłam - zaopatrzona przez dyrektora loterii w adresy i zobowiązawszy się, że nie ujawnię nazwisk - odszukać milionerów osobiście.

Znalazłam ich w Warszawie, Częstochowie, Łodzi, na wsi koło Bielska-Białej, w Nysie i jedną, nie-

72

73

loteryjną milionerkę, w Żernikach koło Wrocławia. Obejrzałam kilka wariantów szczęścia, które stało się udziałem moich rozmówców.

Wariant pierwszy:

nieustające wielkanocne śniadanie

W Łodzi wygrało milion małżeństwo w średnim wieku: snowaczka z fabryki włókienniczej i operator sprzętu średniego. Mieszkali we wspólnym mieszkaniu na Łagiewnickiej (woda na korytarzu - ubikacja w podwórku - dwa razy dzwonić - głowy zza wszystkich drzwi: pani do kogo?, ale już nie mieszkają.

Odnalezienie domu milionera nie jest jednak trudne. Wystarczy znać ulicę - i rozpoznaje się go już z daleka, wysiadając z tramwaju: cieszy wzrok świeżym tynkiem, kolorowymi kamykami wokół futryn i podwójnym drutem kolczastym nad siatką dookoła ogrodu.

Dochodziła godzina dwunasta. Milioner był w pracy (nie opuścił ani jednego dnia, ani razu się nie spóźnił), a jego żona siedziała w kuchni przy stole. Stół był nakryty do śniadania. Na półmiesieczku leżały jajeczka na twardo, na spodeczku chrzan, na talerzyku starannie poukładana polędwica, w słoikach grzybki i śliwki marynowane, a jeszcze i śledzik, i ćwiartka cytrynowki własnej roboty, i makowiec na paterze do ciast...

Za tym stołem, na sam widok którego organizm domaga się raphacholinu, siedziała - jak mówię - żona milionera, a obok ciocia żony z nakręconymi włosami.

Gospodarna żona milionera robiła cioci trwałą, oszczędzając jej w ten sposób dziewięćdziesiąt złotych na fryzjerze. Wbrew moim przypuszczeniom nie czekano na

nikogo. Zresztą pytanie zabrzmiało niemądrze: cz; dlatego, że jest nakryty stół, to zaraz mają przyjść goście? Po prostu teraz zawsze tak jej śniadaniu wygląda. Gospodyni wymienia dotychczasowe zakupy: do mek za pół miliona w stanie surowym, a gdzie wy kończenie, wartburg, meble ze Swarzędza, komple krysztalów, bo skoro kupili serwantkę...

Z wygranego miliona wydano pięć tysięcy dwie ście osiemdziesiąt złotych na inne niż dom i sprzęty cele. Z tego: trzy tysiące dla siostry, dwa dla sio strzenicy z dzieckiem i dwieście osiemdziesiąt n; operetkę, bo byli cztery razy, po 35 złotych jedei bilet.

Państwo M., którzy wygrali swój milion przez trzema laty, jeszcze nigdy nie wyjeżdżali z Łódź (jeśli nie liczyć podróży do Warszawy po pieniądze ale była wtedy mgła, więc szybko zjechali z trzydziestego piętra, wstąpili do restauracji i wrócili do domu). Nie widzieli nigdy morza ani gór, ale mają telewizor kolorowy, w którym morze widać bardzo dokładnie.

Żona milionera nie pracuje. Do emerytury brakuje jej pięciu lat i będzie cnuwała jeszcze wrócić do przedsiębiorstwa.

Mówi, że gdyby wygrali znowu, to wszystko wpłynie na procent, podejmowałyby rocznie 50 tysięcy odsetek i nawet na pięć lat do roboty wracać by nie musiała. Siedziałyby sobie wtedy już zawsze spokojnie, jak dziś, w domu, przy stole, z czernymi włosami, bo je teraz nawet na co dzień czernią w swojej pięknej, przestronnej kuchni pod potrójnym szlaczkiem zielonym, pomarańczowo-złotym i fioletowym. W kuchni, jak i w pokojach, ściany pomalowane są rozrzutnie.

74

Wariant drugi: życie rodzinne

Wieś Bestwina (koło Bielska-Białej) była jedynym miejscem, w którym nie dało się rozpoznać domu milionera. Po prostu w Bestwinie prawie wszystkie domy wyglądają jak domy milionerów. Stoją na "polu Habsburga" - bo cała okolica niegdyś do Habsburgów należała - piętrowe, z płaskimi dachami, z tarasami, werandami, łazienkami i gazem. Nawet Habsburg, który przyjeżdża tu często z Wiednia na grób ojca, wyraża podziw, a sam z kolei nie robi na ludziach większego wrażenia; Władek Lindert, u którego zwykle się zatrzymuje, mówi, że ubrania, jakie im w prezencie przywozi, są już niemodne. A ostatni Habsburg nie mógł nawet na dożynkach zostać, bo mu się kończył urlop.

Wille stawiają przeważnie chłopcy-robotnicy, dojeżdżający do pracy w rafinerii i walcowni do Czecho-wic-Dziedzic albo do kopalni "Silesia".

Naczelnik gminy, urzędujący w dawnym zamku Habsburgów, magister Kwaśny, były kierownik szkoły, mówi, że uczennice, córki miejscowych górników i gospodarzy, tak przychodziły na festyn szkolny ubrane, że zżewstydzone swoim ubóstwem nauczycielki opuszczały zabawę. Więc kiedy same wydają się za górników (w takim Kaniowie jest czternaście nauczycielek i prawie wszystkie za górnikami), to zaraz zaczynają się ubierać w futra, w krempliny, w złote pierścionki, na każdej ręce po trzy co najmniej...

Tak więc jest to bardzo zamożna, kulturalna wieś i - jak mówię - wille milionera rozpoznać w niej niepodobna. W dodatku okazuje się, że nie mieszka on w samej Bestwinie, tylko w sąsiedniej wsi, a i w tej sąsiedniej też nie, bo tylko jego rodzice. - Onego już nie ma - mówi ojciec.

- Więc dlaczego loteria ma ten adres?

- Bo mieszkał, jak teściowie wyrzucili go z domu.

Milioner był, okazuje się, bardzo biedny. "Lokator" - bez własnego gospodarstwa, a ożenił się z gospodarską córką. Teść gonił go do roboty po całych dniach, bo pola miał sporo, na koniec jeszcze pobili go, więc rzucił wszystko i wrócił do rodziców.

I wtedy właśnie wygrał milion.

I kupił sobie białego fiata.

I żona, gospodarska córka, przyszła doń i ze łzami w oczach - przepraszała.

I wsiedli oboje do białego fiata. I odjechali.

Wjść już leższej, żeby j2Je cho&ila tam, mówi ojciec, żeby tego szczęścia im nie zapeszyć.

Ojciec jest bardzo szczęśliwy. Ksiądz już nie pochówi teraz syna pod grabkami. (Pod żywopłotem z grabów chowa się w tej wsi samobójców i rozwiedzionych).

A sekretarz gminy z rozrzewnieniem wspomina, jak na Wszystkich Świętych ta para już razem na cmentarz przyszła, ona miała na sobie nowy płaszcz w kratę czkę i

opowiadała, że często wyjeżdżają teraz do Bielska-Białej, to do "Teatralnej", to do "Pa-triii"... Położyli piękny wieniec, bodaj czy nie najpiękniejszy ze wszystkich na całym cmentarzu, na grobie jej matki i przez cały czas trzymali się za ręce.

- Nie można powiedzieć, wszystko jest jak najlepiej - kończy ojciec. - Teścia poraziło i nie może ręką ruszać. Teściowa umarła. Siostrę spłaciwszy, z domu wygnali. Tak, że życie im się jakoś ułożyło.

77

76

Wariant trzeci:

szewrolet Impala, który mogliby mieć

Kolejna para milionerów mieszka na Bródnie, zaraz za warsztatami na Wincentego ("Kamieniarstwo nagrobkowe", "Pomniki", "Rzeźbiarstwo, rok założenia 1935"). Są młodzi, 26 i 25 lat, on jest mechanikiem samochodowym w wielkich warszawskich zakładach, milion wpłacili rok temu na książeczkę i nie podjęli z niego nic, ani grosza.

Mieszkanie mają ciasne, marzą o samochodzie, o telewizorze kolorowym, o magnetofonie, o wycieczkach, ale - niestety - wszystkiego muszą sobie odmówić. Przecież gdyby kupili samochód - czy cokolwiek w ogóle - ludzie zaraz zaczęliby się czegoś domyślać. No, a nikt nie wie o wygranej. Nikt. Nawet rodzice, nie mówiąc już o kolegach z pracy.

(Taka ścisła dyskrecja zdarza się zresztą często. Milioner z Nysy, kolejarz, też nie powiedział o wygranej ani teściom, ani własnym rodzicom, bo zazdrość ludzka nie ma granic. Działa nadzwyczaj przemyślnie. Obliczył, że gdyby oszczędzał miesięcznie dwa tysiące, a może, bo dostał podwyżkę, wyniosłoby to rocznie dwadzieścia cztery, a przez pięć lat - sto dwadzieścia tysięcy. Więc już za pięć lat i pięć miesięcy będzie mógł kupić Wartburga. Następnie odczeka ze trzy lata - siedemdziesiąt dwa tysiące - i znacznie budować dom. Ale sam będzie musiał pracować przy nim, pomyślał wtedy, że wzięł, jak wszyscy, pożyczkę).

Zatem milionerzy z Bródna także nie chcą głupio się dekonspirować. Niech już lepiej nie mają nic, byle tylko ludzie nie gadali.

- No dobrze - mówię - ale czym właściwie groziłaby taka dekonspiracja?

Jak to czym? Czy ja nie wiem, jak patrzy się na

ludzi, którzy mają pieniądze? U niego w pracy jest jeden gość, żona prowadzi warsztat, nie ukrywa, że jest zamożny - i jakie są tego rezultaty?

- No jakie?

- Przede wszystkim mowy nie ma o żadnych premiach. Ani o specjalnych, ani o nagrodzie.

- Ile taka premia wynosi?

- Ze czterysta złotych. Ale chodzi o sam fakt, nie o pieniądze.

No i w ogóle zaczęłoby mu to w pracy bardzo szkodzić.

- U nas, widzi pani, po prostu nie wypada mieć większych pieniędzy.

A któż, jeśli nie on, który jest w końcu działaczem młodzieżowym, musi się z opinią liczyć.

Tylko - co wobec tego mają z tych pieniędzy?

O, mają. I to dużo.

Po pierwsze. Pieniądze dają zupełnie inne samopoczucie. Na przykład, mogliby go nawet - to zupełnie abstrakcyjny przykład, ale jednak - zwolnić z pracy. A on by się tym nie przejął, wiedziałby, że ma z czego żyć.

Mógłby, powiedzmy, wychylić się na zebraniu. Bo co mu teraz mogą zrobić?

(Jeszcze nie wychylił się, ale mógłby).

Po drugie, kto wie, czy nie ważniejsze. W ich zakładzie jest trudno o awans.

Żałoga młoda, wykształcona, on jest technikiem wprawdzie, ale przed nim do

stanowiska kierownika długa, długa kolejka i chyba nigdy, choć jest działaczem, awansu się nie doczeka. Więc mógłby, na przykład, wziąć dwóch, trzech ludzi, założyć warsztat samochodowy, włożyć ze dwieście tysięcy i interes by ruszył. No - i byłby nareszcie kierownikiem. Sam u siebie.

I po trzeciej. Widzi - powiedzmy - taki szewrolet Impala (pokazuje ręką jaki, stoi przed warszta-

79

78

tem rzeźbiarskim). I myśli sobie: sześćset tysięcy, nie więcej. - WYSTARCZY, ŻEBYM TYLKO CHCIAŁ.

Wariant czwarty: wizyta starszej pani

Babunia przyjechała do Żernik Wrocławskich z Chicago, jako była służąca. W Żernikach okazała się milionerką. (Otrzymała miesięczną rentę, własną i po mężu - 17 tysięcy, a ponadto odziedziczyła spadek w Ameryce za dom, wart blisko milion). Okazała się najbogatszym człowiekiem na całej ulicy Zagłoby. Ba, kto wie, czy nie w Żernikach całych.

Kazała sobie uszyć z płótna pas, poprzesywany co parę centymetrów jak na naboje. Włożyła do niego swój milion i nie zdejmowała nawet na noc. ("Moje pieniądze niech będą ze mną" - lubiła mawiać).

Żyła skromnie. Tak skromnie, że panie z ulicy Zagłoby się dziwiły. Gotowała sobie zupę raz na tydzień i codziennie ją odgrzewała, jak w Chicago. Nie rozumiała, że można do garnka pół kuraka naraz włożyć. A przy tym - jakież miała gest!

Jednym sąsiadom (bo nie mieszkała u rodziny długo, ludzie dosłownie wyrwali ją sobie z rąk, a ostatnio uprowadziła ją chyłkiem listonoszka) kupowała w prezencie lodówkę, innym magnetofon, rajfle, nonajronki, niektórzy mówią nawet, że nowa przybudówka na ulicy Zagłoby jest za babunine pieniądze, nie mówiąc o nowej jawie, ale to mogą być tylko plotki. W każdym razie - gdzie stąpnęła noga babuni, tam zaraz motocykl wyrastał albo przynajmniej tranzystor.

Najmniejszą przysługę babcia wynagradzała sowi-

cię, w złotówkach (100 złotych za zrobienie zakupów) lub w dewizach (5 dolarów za przywiezienie z Wrocławia ciastek). I nie to nawet, by babunia te ciastka tak lubiła. Po prostu - miała gest. I przepadała za usłużną gotowością, z jaką spełniano każde jej życzenie, za wylewnym uczuciem, z jakim wszędzie witano ją...

Wygląda na to, że BABUNIA CHCIAŁA SIĘ ODKUĆ.

Za pięćdziesiąt lat służby. Za życie spędzone na społecznym dnie polskiego Chicago. Za to - bo ja wiem - że się podpisywać nauczyła tak sama ze siebie... Za wszystko postanowiła na koniec tu, na ulicy Zagłoby, pokazać, że jest panią. Co jej się udało.

Wszyscy marzą teraz o odnalezieniu babuni (bo wciąż nie wiadomo, gdzie podstępna listonoszka ukryła ją). A każdy hołubi własne nadzieje: syn państwa Marysiaków - na fiata, którego już obiecała mu; narzeczona syna - na białą kremplinę do ślubnej sukni... Może zresztą - jeżeli babunia się kiedyś odnajdzie - spełni się i jej marzenie, własne.

Bo babunia pragnęła wyjść w godzinę swojej śmierci na ulicę Zagłoby w Żernikach Wrocławskich i rozrzucić pieniądze. Potem przystanąć. Popatrzeć, jak ludzie zbiegają się, jak wyrwają sobie banknoty z rąk. Potem pójść dalej - i wyciągnąć nową garść pieniędzy.

Takie było marzenie babuni. Najpiękniejsze...

Wszyscy ludzie, o których pisałam, są szczęśliwi. Są szczęśliwsi niż przed wygraniem miliona. Milion to większe szczęście niż na przykład miłość albo talent. Inne niż pieniądze rodzaje szczęścia są z góry

80

81

6 - Sześć odcieni...

określone. Z milionem człowiek sobie rodzaj szczęścia wybiera sam. Zaczęliśmy za proii. Nowakiem od modelu społecznego, który można tworzyć znając ludzkie marzenia. Poznaliśmy marzenia milionerów. Czy mogą być dla takiego modelu wskazówką?

Niestety, nie. Żadnego z opisanych szczęść nie da się realizować w społecznym programie poza jednym, poza "wielkanocnym śniadaniem", domkiem i samochodem. - Przeciętni ludzie grają - mówi dyrektor to-to-lotka. - Przeciętni wygrywają. Więc i marzenia mają przeciętne.

#### WIELKA GRA

Sława trwa mniej więcej tydzień. Zaczyna się od razu po wyjściu z telewizji (przechodnie zatrzymują się, uśmiechają życzliwie, czasem towarzyszą tłum nie aż do przystanku - jak pani Cyrus-Sobolewskiej na przykład, niosącej 25 róż sprowadzonych przez Air France prosto z Nicei), swój szczyt osiąga nazajutrz i już trzeciego dnia z wolna przy gasa. ;

Nazajutrz dzwoni zwykle ktoś, minister albo dyrektor jednostki nadrzędnej, by pogratulować sukcesu - do pani Cyrus-Sobolewskiej, na przykład, dzwonił osobiście premier, a pana Tadeusza Hofma-na (literatura amerykańska) sekretarka łączyła z dyrektorem zjednoczenia - i wkrótce po telefonie odbywa się uroczysta lampka wina w zakładzie pracy. Uczestniczą w niej - dyrekcja, przedstawiciele POP, rada zakładowa, po czym dyrektor udziela pochwały z wpisaniem do akt i daje polecenie odwiezienia triumfatora do domu samochodem służbowym.

Pan Feliks Praszczak - kolejarz (wszystko o książce) otrzymał dwa pisma, jedno zawiadamiające o premii od dyrektora gabinetu ministra kolei ("Za właściwą postawę i poniesiony trud..."), drugie - od naczelnika stacji Małaszewicze ("...wyróżniam obywatela pochwałą i równocześnie zarządzam od-

83

notowanie niniejszego wyróżnienia w dokumentach ewidencyjnych...").

Tak się składa, że zwycięzcy Wielkiej Gry są zwykle szeregowymi pracownikami - nie zajmując eksponowanych stanowisk mają czas na swoje wielkie pasje - a i po sukcesie nie awansują. Zauważają jednak, że wygrana doskonale wpływa na ich pozycję w pracy. Nie dlatego nawet, że minister mówi, jak, powiedzmy, pani Sobolewskiej: "Gdyby miała pani jakieś kłopoty, to proszę pamiętać, że ja..." tylko, po prostu, człowiek zostaje zauważony przez środowisko.

- I nawet ludzie, którzy kiedyś lekceważyli mnie, zaczęli się ze mną liczyć - mówi pan Praszczak, nadzwyczaj starannie formułując tę myśl, ale jeszcze raz ją poprawia - może lepiej napisać: "zaczęli doceniać mnie", bo czemuż by się aż liczyć mieli?

Po tygodniu zatem sława przemija, ale zwycięzcy mają swoje chwile triumfu utrwalone na zawsze. Od czasu do czasu nastawiają sobie magnetofon i pan Praszczak znów wsłuchuje się z uwagą, z napięciem prawie, w głos pani Rostockiej: "W roku 1604 odbyła się w Lejdzie pierwsza aukcja książek, proszą podać nazwisko księgarza i wydawcy holenderskiego, który ją zorganizował..." - i w swój głos, mówiący: ,,...tu chodzi chyba o Elzeviera..." - i zaraz pani Rostocka woła z radością: "Tak, tak, tak" - zagłuszone przez donośne brawa - w

tym miejscu oczy pana Praszczaka czerwienieją. "Prosimy pana do mikrofonu, widzowie w całej Polsce podziwiają pana!" - owacja rośnie, wypełnia całą drewnianą chałupkę, słyhać ją pewnie we wszystkich willach okolicznych, po trzysta tysięcy każda, i pan Praszczak musi już wyjąć chustkę dla otarcia łez. - To był piękny dzień - mówi, ale, niestety, nagranie się kończy, zapada cisza i zostajemy sami.

Bez pani Rostockiej, bez braw, z panią Genią Praszczakową jedynie, która wyciąga zasuszony potrójny kłos żyta znaleziony tuż przed finałem. - Żaden gospodarz z Białej nie widział takiego, więc zaraz zrozumiałam: to jest znak. Nic, tylko Feluś Wielką Grę wygra. Ulubionymi pisarzami pana Praszczaka są: Kraszewski, Poi i Syrokomla. Lubi też Blizińskiego. W ogóle lubi rzeczy pogodne i o dobrych ludziach. Kolekcjonuje stare, sprzed stu lat, czasopisma - "Tygodnik Ilustrowany", "Biesiadę Literacką", "Wędrowca", są tam bardzo piękne powieści. "Na stepie" Steckiego choćby i Kraszewskiego "Morituri". Czy znam "Morituri"? Ach, mój Boże, a to jest takie cudne! Brakuje tylko pierwszych szesnastu rozdziałów, więc pan Praszczak poszedł do biblioteki, wypożyczył książkę, streścił te rozdziały, teraz musi je przepisać i równiutko dokleić. "Zembrzycki żył bardzo biednie, lecz ludzie domyślali się, że posiada bajeczne niemal skarby..." - zaczyna się pierwszy rozdział.

Dookoła domku pana Praszczaka stoją piętrowe, murowane wille. Ich właściciele hodują ogórki, kiszą ogórki i sprzedają ogórki - i pan Praszczak nie ma wśród nich intelektualnych partnerów. Pan Praszczak chodzi natomiast do nich, żeby trochę dorobić, jest to praca na powietrzu, w ostatnią niedzielę lał przez cały dzień deszcz, a dzieci właściciela mówiły o nim "ten człowiek..." Pan Praszczak kilka razy zmienia decyzję - pisać o tym czy nie. Może to będzie źle, że dorabia, bo żeby nie było potem jakichś przykrości. Ale - w końcu - dorywczco tylko, więc chyba można pisać. No i żeby nie wyszło też, że jest biedakiem. Bynajmniej. Mają przecież lodówkę i kuchenkę gazową. Jest co jeść. Jest co czytać. W niedzielę biorą

84

85

rowery i jada do lasu, grają w "Chińczyka" i przez lornetkę obserwują ptaki. Więc w sumie jest przecież dobrze, gdyby jeszcze tylko, mówi pani Praszczakowa, można było dostać tańsze gatunki mięsa w sklepie. Tymczasem w ostatnią sobotę stała trzy godziny w kolejce i łopatka w ogóle do niej nie doszła.

Pani Genia jest gospodarna, z niczego potrafi zrobić coś, na przykład z kurzych nówek - galaretkę, delicje po prostu, tylko trzeba pazurki ściąć i mięso delikatnie odjąć od kosteczki.

Pan Praszczak nauczył ją już zamięłowania do książek.

- Co ja teraz czytam, Feluś?

- "Cichy Don" czytasz, Genia, tom czwarty. Strasznie się jednak tym denerwuje.

- Pamiętam, obcinają temu bolszewikowi nos, obcinają mu uszy, ja już się cała trzęsę, ale nic, czytam dalej i wie pani co? I jeszcze mu głowę obcinają - no, to ja już całą noc nie mogłam po tym wszystkim zasnąć...

Kiedy pani Genia jest zmęczona albo zdenerwowana czymś, najchętniej sięga po mały aparacik, który jej mąż przywiózł z NRD i w którym przesuwają się kolorowe slajdy. Jak się trzyma pod światło, widać "taniec misiów", na przykład, albo misie idące do szkoły.

- Patrz pani, patrz pani - woła pani Genia, a pan Feliks pyta:

- Co, co, jest ta scena z latarkami?

- Nie, skąd, Feluś, z latarkami to na końcu, teraz będą tańczyły.

I misie tańczą - i zaraz przechodzi pani Geni każdy gniew i największe zmęczenie.

Na Bogdanowie, gdzie pan Praszczak jest dyżurnym ruchu, przebywa zupełnie sam. Puszczą pociągi

86

z Kowalowa na Wólkę i z Wólki na Kowalów. Dzwoni do kolegi - dajesz co? - za pół godziny - no i ma te pół godziny dla siebie, to znaczy dla biednej Gerwazyny, tej z Zoli, Boże, jak strasznie jest mu jej żal...

Pan Praszczak lubi czytać rozklejone na słupach klepsydry. Zawsze przystaje, odczytuje wiek nieboszczyka i oblicza, ile lat dzieli go jeszcze od tego wieku. Sześćdziesiąt dziewięć odjąć pięćdziesiąt siedem, obliczył dzisiaj pan Praszczak, to dwanaście, dwanaście razy pięćdziesiąt to sześćset. Więc zdaży jeszcze przeczytać sześćset książek w swym życiu, bo czyta pięćdziesiąt przez rok.

Pytam, czy czyta i współczesnych pisarzy, ale za nimi - za rzeczami Faulknera i tych innych - nie przepada. Potem sumituje się i pisze mi do Warszawy list:

"Wyczułem, że pani zdaniem dobór mej lektury pozostawia wiele do życzenia...", dodaje więc, że oprócz tej "pogodnej staroświeckiej" literatury czyta jeszcze encyklopedie, książki popularnonaukowe. Ale, naprawdę, źle zrozumiał moje pytanie. Czyta i tak prawdziwiej niż wielu innych, znających "te rzeczy Faulknera" - bo nigdy dla obowiązku albo mody...

W specjalnym notesiku zapisuje sobie wszystkie informacje dotyczące księgarstwa w porządku alfabetycznym. Abominarium - zbiór klątw rzucanych w średniowieczu przez dostojników kościelnych... Acta Tomicianiana - zbiór aktów i listów z XVII wieku, związanych z działalnością podkanclerza Tomi-ckiego. Albertrandy Jan Chrzyciel (1731-1803), appellativum, dissoluta, druk grecki... - a to zdjęcie katedry w Kolonii. Specjalnie na roboty się zgłosiłem, żeby tę katedrę zobaczyć, potem uciekłem i siedziałem w więzieniu piętnaście miesięcy, ale warto było. Jak teraz otwieram encyklopedię i czytam

87

Kolonia, zaraz widzę pod powiekami ten cudowny gotyk. Siostrzeniec przywiózł mi ją na pocztówce z RFN, jeździ jako kierowca PKS-u. "Czy góry z Bazylei już widać, Leszku?" - pyta, bo siostrzeniec właśnie wrócił ze Szwajcarii. "Widać, wuju, widać". "I te szczyty, te olbrzymy?" Ale siostrzeniec nie pamięta dokładnie Alp, natomiast kremlina niemiecka idzie w Białej po siedemset pięćdziesiąt za metr.

- A za co byłbym pani niezmiernie wdzięczny - mówi pan Praszczak - to za napisanie o moim naczelniku, panu Nowaku. Że zawsze mi idzie na rękę, a podczas Wielkiej Gry podtrzymywał mnie na duchu - "niech pan choć na jedno pytanie odpowie, panie Felku, to już to będzie wielka robota dla Ma-łaszewicz..."

Niedawno pan Praszczak postawił sobie w ogródku kuchenkę letnią, sam robił przy niej całe dnie, ale ktoś doniósł, że zrobił komin bez pozwolenia, i kazali wszystko rozebrać. Genia myślała, że się zabije, sprawa aż o posła oparła się.

- A pani się dziwi, że ja tak lubię te stare, pogodne historie. Kiedyś ludzie mieszkali o kilkanaście kilometrów od siebie, a sąsiad był sąsiadem - to współczucie, to serce było, a dziś? Mieszka się obok, a jakby na pustyni...

Pan Feliks Praszczak niesłychanie się różni od innych triumfatorów Wielkiej Gry. Taka pani Cyrus-Sobolewska bowiem - od historii Francji - jest damą, siwowłosa, całą w fioletach, damą w każdym calu. Mieszka wśród starych, stylowych mebli, przegląda się w lustrze, w którym mógł przeglądać się Napoleon, a kiedyś posiadała nawet - choć krótko - poza dwoma tysiącami włók jeszcze i tabakierkę ze stu dwudziestoma karatami brylantów, ofiarowaną przez Jana Sobieskie-

go jego szambelanowi, oraz zegarek przywieziony hrabinie Czosnowskiej przez księcia Poniatowskiego. Cóż dziwnego, myślę sobie, że pani Sobolewska tak chętnie przenosi się dziś z ulicy Puławskiej na dwór Ludwika XIII? W końcu dla osoby jej sfery jest to miejsce znacznie stosowniejsze niż Górny Mokotów. A na to pani Sobolewska mówi mi, że na dwór nie podaży już za nią ani nieuleczalnie chora wnuczka, ani zięć na rencie gruźliczej, ani córka, która jest bufetową w Domu Chłopa, ani nawet żadna o ich nieszczęściu myśl - i schroni się tam w spokoju, a czasem i zupełnej beztrójce.

Doktor inżynier Hofman jest z kolei dyrektorem. Nosi skórkową, przywiezioną z Turcji marynarkę, zajmuje się systemami informatycznymi, a w rozmowie używa słów "wejście", "wyjście", "kod" i "algorytm".

Ma wszystko - i to w gatunku doskonałym. Willę, fiata, doktorat, tytuł wicemistrza Polski w bryżu sportowym i wyjazdy zagraniczne co rok.

Każde z zajęć, którym się doktor inżynier Hofman oddawał, wymagało dużej gotowości intelektualnej i wysiłku, a ich obfitość wskazywałaby, że jego możliwości były znaczne. Były w każdym razie dużo większe, niż wymagała tego praca zawodowa, którą wykonywał.

A że , nie mógł twórczo rozwijać się w pracy, i zresztą nikt od niego niczego takiego nie oczekiwał, więc zajmował się różnymi innymi rzeczami, od których - jak mówił - mądrzał znacznie bardziej, które były na tyle trudne, że dawały satysfakcję prawdziwą.

Tacy są i tyle mają inni triumfatorzy Wielkiej Gry.

A pan Praszczak - ani fioletoń, ani wspomnień z Chartres.

89

88

Drewniany domek z nielegalnym kominem. Dwanaście kroków wzdłuż i sześć wszerz - w dyżurce na Bogdanowie... Aha, jeszcze i wspomnienia o ojcu, który miał przed wojną stragan z dewocjonaliami, kalendarzami i starzyzną - wprawdzie nie mógł z niego dzieci wyżywić, ale za to czytał im na głos wiersze ze starych kalendarzy, na przykład ten, jakże wzruszający:

Przyjaźń przeminie po pierwszym upiciu, Miłość się urwie najkrańszej wstańce, Za mało mamy pięknych spotkań w życiu, Lecz najpiękniejsze zawdzięczamy książce.

- Za to - mówi pan Praszczak - ja mam wszystkie światy i wszystkie życia, jakie tylko zechcę mieć...

Co mi przypomina słowa księżnej Bibesco, przyjaciółki Prousta. Czytam więc panu Feliksowi Praszczakowi z Białej Podlaskiej słowa księżny - że pokochała Swanna "tak, jak się kocha własne życie, a raczej to inne życie, które dzięki czyjemuś talentowi ... zostaje nam dodatkowo przydzielone, rozszerza i wzbogaca nasze..." I pan Praszczak uznaje słowa księżny Bibesco za nadzwyczaj trafne. Pytam jeszcze więc, dlaczego w to "inne życie" ludzie spieszą - uciekając od smutku, nieszczęść albo tylko znudzenia. Ale pan Praszczak dziwi się, bo przecież mówił mi już, że jest szczęśliwy, więc dlaczego o tym stale zapominam.

"HAMLET"

Poloniusz, dworzanin królewski, ma niedobory w magazynie, dzisiaj zauważył brak suwmiarki, a wczoraj palnika. Ofelia, jego córka, wpisuje pospiesznie do arkusza siedemset sześćdziesiątą liczbę, bo dyrektor musi mieć o godzinie szóstej trzydzieści pierwszy raport. Król Klaudiusz zaś lutuje elementy do komputerów. Stoi przy taśmie, bierze element, zagina, wkłada do płytki, lutuje, przesuwa dalej, znów bierze element, zagina... Król Klaudiusz mówi, że i tak jest w znacznie lepszej sytuacji niż inni koledzy w fabryce, bo tamci mają tylko te płytki, a później dziewczyny i kino, a on ma jeszcze władze i tron, więc stojąc



przy taśmie i zginając element myśli sobie, że będzie się musiał chyba z tą Gertrudą ożenić. Nie z miłości, bynajmniej. Ożeni się wyłącznie dla tronu. Królowa Gertruda koduje mięsa i wędliny dla maszyn liczących. Zna już wszystkie symbole na pamięć: wie na przykład, że cielęcina ma 030, baranina 040, a końskie 050, w ramach każdego mięsa są jeszcze cztery poddziały (z kością, bez kości, przód i zad), a w ramach, powiedzmy, zadu trzy podgrupy - świeże, mrożone i peklowane. Od siedmiu lat wystukuje już na ślepych klawiszach te symbole. Więc kiedy tylko przestają kodować, lutować i na-

nosić - spieszą na duński dwór i są królami i dworzanami, sprawcami i ofiarami intryg, i pochłaniają ich problemy ostateczne, i targają nimi niszczące namiętności.

Te suwmiarki, których Poloniuszowi brakuje (poza palnikami, których brak zauważył wczoraj), są po tysiąc trzydzieści złotych każda, przerzuca wiać od nowa karty, zdenerwowany, i myśli sobie, że gdyby to było wiertło czy coś, to mógłby znaleźć zużyte na podwórku i brakarz by mu wybrakował, ale suwmiarki to już nie znajdzie na pewno. Na podwórzu jest wszystko - stare narzędzia, zwalone rury, pogięte żelastwo, rdza, jakieś rozwalone drzwi wystają z czarnych ścian pod oknem z wybita szybą... Poloniuszowi jest przykro. Te niedobory mogą mu w każdej chwili wytknąć - na przykład, gdyby powiedział na zebraniu, że tokarnia warta z ćwierć miliona stoi nie używana, to zaraz kto inny mógłby powiedzieć o tych jego narzędziach.

Poloniusze są wszędzie - stwierdza (od kiedy grają "Hamleta", patrzy na świat jak na dwór duński) - Poloniusze i królowie. Jego szef, powiedzmy, przyjeżdża codziennie do pracy z Zawiercia (150 kilometrów w obie strony to dwanaście litrów żółtej - cztery i pół tysiąca miesięcznie!) - czyż nie jest to typowy Klaudiusz? A już Poloniuszy ma, jak obliczył, trzech: mistrzów, którzy przed kierownikiem się płaszczą, a u niego próbują pobrać narzędzia na cudze nazwisko, i kiedy nie daje, to z miejsca połowa budynku administracyjnego wie, że w narzędziowni nic załatwić nie można.

Mimo wszystko nie chciałby stracić tej pracy. W domu mieszka w jednym pokoju z żoną, matką i dzieckiem (w drugim pokoju - siostra z dziećmi, w kuchni ułomny brat) i tylko tu w narzędziowni

może jeszcze znaleźć skupienie i spokój tak potrzebne w pracy nad rolą. Jeśli wspomina więc o nieczynnej tokarni, o której dyrekcja ciągle jeszcze nie wie, to tylko całkiem prywatnie. Od roku jest ta tokarnia i nikt nic nie mówi, to teraz on miałby nagle wstać? On nie jest od zebrań. Zabiera głos na scenie i stamtąd odwołuje się do ludzi, których, jak wiemy, bez przerwy trzeba na pewne rzeczy uczulać.

W raporcie dziennym dla naczelnego jest pionowo trzydzieści pozycji, a poziomo czterdzieści dwie, musi wstawić więc tysiąc dwieście sześćdziesiąt liczb, które jej przekazują z kopalni. W raporcie dla dyrektora ekonomicznego jest pięćdziesiąt pozycji poziomo, za to w raporcie eksportowym tylko dwadzieścia. Więc razem dziennie trzy tysiące liczb. Zaczyna je wpisywać od piątej (wstaje, gdy nadają audycję dla pierwszej zmiany i ludziom dobrej roboty przesyłają piosenki), bo już przed siódmą dyrektor musi mieć pierwszy raport.

Kiedy ma próbę albo przedstawienie, jedzie wprost z kopalni tramwajem do Bytomia, następnie autobusem do Będzina i znów tramwajem do Dąbrowy Górniczej, i już po dwóch godzinach jest na duńskim dworze niewinną Ofelią.

Mówiąc prawdę - o tej jej niewinności ma już od dawna wyrobiony sąd. Wiele ludzi nabiera się do dziś na te słodkie miny, ale nie ona. Ona dobrze wie, że to są pozory wszystko. Ofelią przecież od dawna śpi z Hamletem - i zresztą dlaczego nie ma spać, niech się kochają, tylko po co to udawanie niewiniątka.

Z drugiej strony - rozumie doskonale, dlaczego Ofelią musi udawać. Dla tych samych przyczyn, co dziewczyny w Miechowicach i Będzinie. Dla rodzi-

ców, krewnych, sąsiadek, dla wszystkich, którzy chcą oglądać niewinną buzię, a zaraz potem udanego zięcia i szczęśliwie odchowane wnuki...

Więc kiedy w scenie obłędu śpiewa widzom Miechowic:

Obiecałeś wziąć za żonę, zanim z tobą spałam.

A on na to:

Już byś była, gdybyś, miła, Mnie nie obłapiała...

ma za każdym razem szczerą frajdę. Nie ona przecież, dwudziestosześcioletnia księżowa, która jeszcze nie wyszła za mąż, śpiewa, tylko to wasze niewiniątko, to dziewczę słodkie, no, nareszcie możecie przyjrzeć się: właśnie taka jest naprawdę!

Ma dziewiętnaście lat, ojciec jest sztygarem zmianowym, widują się właściwie raz w tygodniu i przy obiedzie niedzielnym słucha wszystkich tych bezcennych rad, które winno się wpoić w młode pokolenie. Stara się słuchać w milczeniu, bo dziadek na ojca też tak krzyczał, a poza tym, kiedy się milczy, to obiad kończy się znacznie szybciej.

Jest skupiony, rozważny. Przemyślał sobie wiele spraw, w które go uwikłano, choć nie wszystko jeszcze jest dlań do końca jasne. Na przykład - dzięki czemu właściwie Laertes po powrocie z Francji tak szybko awansował? Przed wyjazdem był nikim, synem prostego dworzanina, a po powrocie zaczął natychmiast robić błyskawiczną karierę.

Czy chodzi o to, że wrócił ze świata i to ludziom zaimponowało? Czy może tam nauczył się, jak trze-

94

ba zdobywać poparcie? Dość że kiedy wyjeżdżał, Klaudiusz ledwie zauważał go, a kiedy wrócił, stał się królowi wręcz niezbędny i to mu, prawdę mówiąc, cholernie zaimponowało.

Podobno jest pionkiem w jakiejś politycznej grze. Owszem, już mu o tym wspomniano, ale to go nie interesuje zupełnie.

- Ja - mówi - w takie sprawy nie wnikam, ja jestem młody i nie można mi chyba mieć za złe, że chciałbym wreszcie coś znaczyć.

- No, dobrze - mówię. - A spisek? Wziął pan w końcu udział w spisku politycznym?

- To fakt - zgadza się. - Tu może idę na pewną łatwiznę. Ale z drugiej strony - ojca zabili mi, siostra zwariowała, tak że nikt nie może zarzucić, że działam dla kariery...

- A co byłoby - pytam - gdyby się udał ów spisek? Gdyby tylko Hamlet zginał?

- Jedno jest pewne - odpowiada. - Już bym się nie zgodził być tym dawnym, nic nie znaczącym La-ertesem. To, co osiągnął, zawdzięcza sobie, własnymi siłami doszedł do obecnej pozycji i teraz miałyby ustąpić? Miałyby dobrowolnie stać się człowiekiem, który wstanie o czwartej, po dzienniku położy się spać, a raz w tygodniu będzie wychowywał swoje dzieci przy niedzielnym obiedzie?

Kano sprawdzał, ile mu dają porcelanowych sztuk, a po południu był Hamletem. Tak jak podejrzewał - skręcali mu dziennie nie mniej niż sto części, a do tego dochodziły metalowe i z tektury i miał już teraz pewność, że nie chodzi tylko o jego dział. Jeśli obcinali jemu, to musieli skręcać w galwanizerni też i na piecach, napisał więc obszerny list w tej sprawie i wręczył (kierownikowi). Było to okropne. Rano wykrywał machlojki na

95

wydziale, a po południu matka mu się puszczała z tym gnojkiem, królem, który przecież załatwił mu ojca, o czym ona nie mogła nie wiedzieć. Znienawidził ją. Doszło do tego, że dostawał furii na jej widok, a któregoś dnia chciał jej dać na przedstawieniu po mordzie; w ostatniej chwili i z największym trudem się

opanovał. Ale jeszcze nie to było najgorsze. Najgorsza była ta cholerna hołota, ten tłum, który Klaudiuszowi udało się na niego napuścić. Zrozumiał wtedy, że w tłum można wmówić dosłownie wszystko. Nawet ten idiota Laertes z nimi poszedł, choć pojęcia nie miał, co jest naprawdę grane. Próbował wszystko wytłumaczyć mu przed pojedynkiem, ale tamten w ogóle nie chciał słuchać. Wracał więc cały roztrzęsiony z teatru, a nazajutrz w fabryce majster wyrażał swe głębokie ubolewanie w związku z listem. "No dobrze - mówił majster - raz to się mogło panu zdarzyć, ale już więcej się nie powtórzy, prawda?" Po czym przypominał mu że matka też pracuje na tym wydziale, więc zachowanie syna wydaje się tym bardziej lekkomyślne... (Dopiero wtedy uprzytomnił sobie, że matce przestali dawać premię w tym samym miesiącu, w którym zaniósł kierownikowi list. A premia była wysoka, sięgała dwudziestu procent, co stanowiło czterysta złotych miesięcznie...)

Koledzy tłumaczyli mu przyjaźnie: "Młody jesteś, nie znajdziesz w nikim poparcia, myślisz może, że zwojujesz coś sam?"

Poszedł więc i wycofał pismo. Kierownik zwrócił mu je bez słowa zresztą, a matka już następnego miesiąca otrzymała premię.

W tej sytuacji szedł na dwór duński z prawdziwą ulgą. Szedł - by w drugim akcie, zwrócony ku publiczności pytać:

Czy jestem tchórzem?

Kto nazwał mnie tchórzem?

Kto to mnie bije po głowie?

Kto za nos mnie wodzi?

Zadaje kłamstwo

i wpycha je w gardło, w głąb,

aż po płuca?!

Kto?!

Rozumiał, że to jest tylko teatr, ale gdy widział tych ludzi na duńskim dworze - posłusznych władzy, przekupnych, przymilnych, za każdym razem był zaskoczony. Miał ochotę krzyknąć - słuchajcie, co ja takiego wam zrobiłem? Dlaczego wszyscy jesteście przeciw mnie?

Jeszcze teraz, kiedy mi opowiada o tym, przepełnia go gorzyc. Pyta znów - co właściwie zrobił złego, dlaczego ulegli Klaudiuszowi tak łatwo, mówię więc: jak to - co zrobił? Wycofał list w sprawie nadużyć...

Milknie dotknięty. To nie jest sprawiedliwe z mojej strony. Ludzie poparli go. Te kobiety, które podlegały mu jako brygadziście, nie tylko przyznały rację, ale miały dosłownie łzy w oczach, kiedy po złożeniu prośby o zwolnienie z nimi się żegnał. Kwiaty przyniosły mu i malutkiego szczeniaczka. I wcale nie miały pretensji o list, jeszcze - na odwrót - wdzięczne mu były, bo teraz nikt już nie będzie ciągał ich na świadka. To one pierwsze połapały się w sprawie porcelanowych części i poradziły, żeby porządnie policzył, bo coś się nie zgadza, więc w razie dochodzenia zaczęto by od nich: wiedziałyście? sprawdziłyście? - to teraz zeznawajcie. A tak to już będą miały spokój. Kiedy zaś na siedemdziesiąt pięć kobiet przypada przeszło sto osiemdziesiąt dzieci, a jeszcze kilku mężów pijaków na utrzymaniu,

96

97

7 - Sześć odcieni...

#### SZEŚĆ ODCIENI BIELI

to spokój jest człowiekowi potrzebny przede wszystkim.

Odszedł więc - i mógł już poświęcić się teatrowi, w którym grał Hamleta takiego, jakim był naprawdę: odważnego księcia, opuszczonego przez tchórzy i głupców.

"Hamlet" - sceny z W. Szekspira, przekład Jerzy S. Sito, reżyseria Michał Staśkiewicz, teatr "Forum", Pałac Kultury w Dąbrowie Górniczej.

Przyczepa jest o wiele lepsza niż autobus: w autobusie można grać tylko z tyłu, więc jest miejsce dla dwóch czwórek, a w przyczepie mieszczą się cztery twarzami do siebie. Autobus rusza spod Jel-czańskiej Bramy o piętnastej trzydzieści, ale schodzą się wcześniej i każdy idzie od razu na swoje miejsca - kontra, Józku? czemu kontra? - temu, że na trefle kontra - my zresztą nie musimy aż do Jel-czańskiej iść, dla nas kierowca zatrzyma się na drodze. Wystarczy, że Pakos podniesie rękę, i kierowca się zatrzyma. W razie jak mu się błotnik kiedy urwie, to nikt nie będzie mógł zezwolenia na spawanie dać, ani kierownik, ani nikt, a Pakos po prostu weźmie i zespawa, więc siadamy. Tym o piętnastej trzydzieści wraca jeszcze i Zosia Pakosowa, która montuje przewody elektryczne, młodsza córka, z kra-jalni, wróci następnym, starsza, z kotłowni, pojechała do siebie, do Oławy, a najmłodsza powinna być w domu i już stawiać na kuchni do podgrzania wczorajszy obiad.

Danka Budzisz zapala światło. Od Bramy do baraku jest parę kroków i wraca piechotą. Józia siedziała jak zwykle, przy oknie, po ciemku, i uśmiechała się do siebie. Znowu tulejek nie ma, mówi Danka, która musi się wszystkim z kimś podzielić, a Józia się uśmiecha. Ale Zbyszek jutro zamontuje, wiesz? A Józia się uśmiecha.

S9

Delikat wyszedł wcześniej, podobnie jak Skrzydłowski. Obaj pojechali na wykłady do Wrocławia. Piąty, ostatni rok. Delikat jest zastępcą kierownika zakładu, a Skrzydłowski robotnikiem na zet trzy. Jak tylko ten rok skończą, to Delikat zostanie kierownikiem, a Skrzydłowski inteligentem. Tak sobie obiecał: na razie nie ma czasu, ale od razu po dyplomie podciągnie się i zostanie.

Dziewczyna klęczy na łące i gra na flecie, a druga słucha. Dziewczyna klęczy na dywanie i gra na skrzypcach, a dwie słuchają. Dziewczyna przycupnęła na podłodze i gra na wiolonczeli. Obrazy wiszą dookoła na ścianach i w sąsiednich mieszkaniach, i na parterze, mówiąc szczerze, to w całym bloku wiszą jego obrazy, z tym że dla sąsiadów maluje, na ich prośbę, rzeczy o treści religijnej i kwiaty, a grające dziewczyny tylko dla siebie. Mógłby teraz zacząć nowy obraz. Jest jeszcze niezłe światło, ale zabrakło mu bieli, w ogóle nie można dostać bieli w sklepach. Niektórzy uważają, że to nie jest kolor, ale on uważa, że jest. Manet także uważał, że jest. U Maneta jest sześć tonacji, sześć różnych odcieni bieli, ale on osobiście lubi najbardziej taką ciepłą (żółtym ociepla ją i troszeczkę czerwienią).

- Mnie tam - mówi Pakos - wszędzie jest dobrze. I krajalnię blach przeszedłem, i tłocznię, a teraz jestem na autobusach. Ja jestem lubelak, z wioski Lipina Duża nad sameńką Wisłą, co będę mówił, że z miasta, jak z wioski jestem. Kolega ściągnął mnie do Jelcza po sześciu klasach, ale jakoś doszedłem do pełnego zrozumienia: jaki detal jak pociąć, tak mi się to wszystko skojarzyło i zostałem.

Obiad podgrzany przez najmłodszą córkę już jest gotowy, możemy od razu sięść do rosółu, a ty, Zosia, mówi Pakos, idź do kuchni, cukru upał.

Palmy na ścianach malował znajomy. Henio. Na wózku akumulatorowym jeździ, ale ma też pudełko z farbą i rurką w środku i po pracy dmucha przez tę dmuchawkę tak, że w półtorej godziny obleci wszystkie ściany w całym mieszkaniu.

- Palmy to ja wymyśliłam. Mówię - Heniusz, tylko żeby nikt na osiedlu czegoś takiego nie miał. I nadmuchał mi palmy na różowym tle.

Zięć - mąż najstarszej córki, tej z kotłowni, pracuje i uczy się, kończy w tym roku politechnikę, z Delikatem są na jednym roku. Zapomniałam, jak to się nazywa

- no wie pani - woda, gaz, gówno, kanalizacje takie różne. Mają trzy pokoje w Oławie w blokach.

Jak wódkę się doprawi upalonym cukrem, to całkiem gubi zapach, nie?

- Ja, kur jego zapiał, lubię wypić i lubię czasem z roboty wcześniej wyjść, a pan Delikat to tak mnie postawił raz, że nie miałem gdzie oka wsadzić, tylko trzeba było patrzeć prosto na niego. Oj, Pakos, Pakos, mówi i patrzy, znowu żeś pan pił? Bo on mnie na źle nigdy nie chciał, paniusiu.

Z tej mojej wioski Lipina Duża nad sameńką Wisłą to dwóch pułkowników wyszło. Jeden był ranny na dwunastym kilometrze od Lipiny licząc za Gościera-dowem, a drugi, Jan Rytel, w Warszawie mieszka i ja obu dobrze znam, jak również znam Michała Rolę z partyzantki, a dlaczego mówię tak szczegółowo, jak jest, dlatego, że ja dobrze znam ludzkie życie i wiem o ludziach niejedno, i powiem pani, że ten Delikat to jest gościowa na poziomie i człowieka nie ukrzywdzi.

Jak Kazia poznała, była wdową. Miała troje dzieci - te dwie starsze córki i syna - ale szczupła byłam, no nie, Kaziu? Na buzi może i pełna, ale tu

101

100

szczuplutka całkiem. Inni chodzili potańczyć - do Bystrzycy do remizy, do Oławy do "Adrii", do Laskowic na świetlicę, a ona nie mogła iść, bo zaraz mówili - oho, latawica jaka. To nieraz kupiła sobie wódkę na święta i nawet nie miała z kim wypić: do sąsiadów nie pójdzie, bo sąsiadka pomyśli, że leci na jej męża, do domu nikogo nie zaprosi, bo trójka dzieci, tak że człowiek czuł się strasznie upokorzony. Dopiero jak Kazio zaczął przychodzić, mogła iść zabawić się.

Zięć - ten, który uczy się, też jest z wioski, a rodzinę ma na wysokim poziomie. Brat zięcia śpiewa w operze i podczas ślubu odśpiewał na chórze całe wesele. Pięknie śpiewał. Wszyscy się rozglądali, kto tak śpiewa, a to właśnie był brat ich zięcia.

Na weselu było pięćdziesiąt osób.

Żona tego śpiewaka, profesorka matematyki, szynkę cienutko pokroiła, Janeczka, druga siostra zięcia, która skończyła prawo i pracuje w KW, nadziewała kury, jej mąż, skrzypek, studzienie robił, a jaszczke jedna siostra skończyła chemię i ma męża prokuratora i to wszystko jest teraz ich rodzina.

- Pij, paniusia, pij. Ta wódka to stąd, że jak nasi ten mecz przerznęli, to już tak zgniewaliśmy się, że nie mogliśmy nawet wypić do końca, no i jak raz się dzisiaj przydało.

- A wie pani, skąd orkiestrę mieliśmy na weselu?

Tu, od nas, z Laskowic. Trenowali zawsze w pralni i ja mówię do Halinki:

"Halinka, co będziemy orkiestry daleko szukać, jak oni tak ładnie grają".

Poszłam i wypróbowałam ich, kazałam grać "Frankę" - to - jak długo mam stać tak na ulicy, pod domem Franki, tej cholernicy - i bardzo dobrze zagrali. Po dwieście złotych dałam im, a ten, co grał na akordeonie, to był syn kierownika całej kontroli technicznej.

- Paniusiu, co ja będę mówił.

Sama pani widziała, jak mnie kierownik przyjął. Rękę mi podaje - dzień dobry, panie Pakos - dzień dobry - no jak tam - bo wiedzą: jak ja mam zrobić coś, to już ja to zrobię. I od zeszłego roku żem nie opuścił nic, jednego dnia nawet. I od lipca ani razu się nie upiłem.

Panie Romeczku, mówiła. A czterysta sześćdziesiąt - zero pięćdziesiąt osiem - pięćset? Danusia, pan Romeczek na to. Ty wiesz, że ja bym ci chętnie zrobił, ale detali nie dowieźli. Albo: panie Zbysiu, niech pan już tę tulejkę zamontuje, co? A pan Zby-sio: zamontuję, zamontuję, czego ja dla ciebie nie zrobię, Danuś.

I tacy są dla niej wszyscy mili: i mistrz, i kierownik (bo jak pracownik skosu czy podłużnicy, czy tulejki nie zabezpieczy, to niestety, ale ona musi posunąć

się dalej i iść do kierownika wydziału) i nie inaczej do niej mówią, jak tylko Danuśka, Danuś albo po prostu Mała Czarna.

Mieszka na osiedlu dwadzieścia trzy lata. Pracuje w zakładzie dwadzieścia trzy lata. Tak wrastała tu i wrastała i nie dlatego pochowała go w Jelczu, a nie we Wrocławiu, że musiałaby wydawać na bilet dwanaście złotych w jedną stronę jadąc na cmentarz, tylko dlatego, że nie wyobraża sobie, by mogła kiedykolwiek w życiu z Jelcza wyjechać.

Przywiozła więc ciało z Wrocławia, ułożyła na tapczanie, zapaliła świece - było tu kiedyś w doniczkach pełno kwiatów, ale pousychały zaraz po jego śmierci, może od tych świec, a może i nie od świec, i kiedy wracała z cmentarza myślała sobie, że ma już w tym Jelczu pierwszy grób, wiec i pierwszy prawdziwy dom, bo dorn ma się tani, gdzie się wrosło w ziemię grobami.

103

102

Nie miała domu rodzinnego: ojciec ożeniwszy się powtórnie nie chciał jej ani Józki, siostry bliźniaczki, ona chowała się więc u jednej ciotki, a Józka u drugiej, i obie mając po szesnaście lat poszły do pracy do zakładu.

Teraz ojciec się na nią obraził. Cała rodzina, która przyjechała na pogrzeb, obraziła się, bo powinna była przyjąć ich poczęstunkiem po cmentarzu, a ona nawet butelki na rozgrzanie nie miała, choć, jak dobrze wiedzieli wszyscy, stać ją było, bo sprzedali przed jego chorobą trabanta, a jeszcze nie kupili małego fiata i pieniądze leżały na książeczce.

Ojciec czeka pewnie, aż ona przyjdzie i go przeprosi, ale ona nie przyjdzie. Rzeczywiście, miała pieniądze i na fiata, i na mieszkanie, a jeśli chodzi o ścisłość, to i na altankę murowaną, ale nie przyjdzie, bo gdyby ojciec nie oddał ich wtedy ciotkom, to ta kobieta nie wyszarpałaby później Józki za włosy, przez co naruszyły się jej komórki mózgowe i Józka od tamtej pory słyszy głosy, których nikt nie słyszy, i widzi obrazy niewidoczne dla innych.

Altanka miała być murowana, otynkowana i z ganeczkami. Aleja do altanki wysadzana byłaby różami i zawsze miały być pod ręką owoce i ciasto, i jakieś domowe wino, na przykład z głogu albo z tarniny. On nie pił, ale' bardzo był gościnny i lubił gości pytać - napijesz się? tego czy tego? to jest z jeżyn, a to z głogu.

Bardzo zależało mu na tej altance. Przed chorobą zdażył jeszcze kupić trzy worki cementu i cały czas denerwował się, że mu się zepsuje - zobaczysz gdzie drzwi, mawiał do niej, gdy przychodziła do szpitala, to nie patrz na nic, najmiej człowieka i stawiaj altankę.

Bał się tej operacji. Bał się, że nie będzie miał później siły pracować i że materiał się zmarnuje,

104

przrzekła mu więc, że w poniedziałek weźmie fachowca i pojedzie na działkę, ale w poniedziałek pojechała do szpitala po ciało i przywiozła tu, do Jelcza, a na pogrzeb od niej z działki przyszło dwadzieścia osiem osób na trzydzieści dwie zatrudnione, co jest chyba najlepszym dowodem, że mają zgrane towarzystwo i że ją w zakładzie naprawdę cenią.

On był spawaczem, a pracuje na ślusarni. Byli małżeństwem przez szesnaście lat i od samego początku, od pierwszych dni gospodarowali roztropnie i oszczędnie.

Mieli komórkę, w której chowali króliki, i działkę, na której siali kukurydzę dla drobiu. W wekach miała kompoty, warzywa i włoszczyznę, jajka były swoje, mięso swoje, królicze, bardzo zresztą zdrowe dla organizmu, tak że w sklepie kupowało się tylko chleb, cukier i wędlinę konkretnie i mogli półtorej pensji odkładać na książeczkę. On jeszcze brał drugą zmianę albo i nockę, i sylwestra,

i różne święta, byle tylko oszczędzić jak najwięcej, byle tylko kupić samochód, postawić garaż i zbudować murowaną altankę.

W nocy czasami budził się - siadał. "Nie chce ci się spać? - pytał. - To pogadajmy".

"Będziemy mieli samochód - zaczynał. - Pojedziemy do lasu, nad wodę..."

A ona mówiła: "Do lasu dojedziemy i rowerem. Pięć kilometrów i już jest las. Kupmy dwa rowery".

On mówił: "Jak będzie wiatr, można się przeziębnić. Jak jest deszcz, można nie przejechać. A samochodem dojedziemy zawsze".

A ona: "Po co jechać do lasu, jak jest deszcz i wiatr?"

Wtedy on milkł, pełen goryczy, ale po półgodzinie zaczynał znowu: "Spisz już? Bo wiesz co? Bo

105

będziemy też mogli do Jurka do Katowic jeździć, ikiedy tylko zechcemy".

Kupili trabanta.

Kiedy jeszcze trabant stał przed domem i padał deszcz - mąż brał flanelową ściereczkę i delikatnie przecierał.

Kiedy trabant był zakurzony, przemywał go letnią wodą.

Przykrywał go zawsze, żeby się nie zabrudził, nawet kiedy już mieli garaż, trabant był starannie przykryty, bo szparami mógł się dostać -kurz.

Koło garażu posadził drzewka owocowe, a po bokach topole, które rzucały cień, dzięki czemu samochód nie grzał się na słońcu.

Postanowili, że pojedą na Mazury. Kupili kuchenkę, spiwory, namiot, i byli właściwie gotowi do drogi, ale sąsiad akurat kupił sobie sinicę, więc on szybko sprzedał trabanta i powiedział, że kupią fiata sto dwadzieścia sześć.

Teraz, tego lata właśnie, mieli już małego fiata kupić i jechać na Mazury. Mieli też dostać mieszkanie w blokach, bo ich barak jest przejściowy i mieszkają w nim głównie niezamężne matki, które musiały wyprowadzić się ze swoich wsi, albo kobiety z dziećmi po rozwodzie, albo ludzie po różnych innych tragediach rodzinnych (oni mieszkali tu ze względu na Józję, która się boi ruchu miejskiego w Oławie) - i właśnie wtedy, gdy osiągnąć już mieli naprawdę wszystko, wszystko, na co pracowali przez szesnaście lat, on nagle podupadł na zdrowiu, poszedł do szpitala i po czterech miesiącach zmarł zostawiwszy ją tak zrozpaczoną, że nawet nie miała głowy pójść i zobaczyć, co w końcu się dzieje z tym cementem.

Ściemnia się.

Danka posyła Józję do sklepu po ciastka - pisze na karteczce, co ma kupić, bo Józia zasłuchana w

coś, czego my nie możemy słyszeć, i uśmiechająca się do czegoś, czego my nie zobaczymy - nie zapamiętałyby, po co idzie,

W pokoju zgasło światło - ktoś widać znów włączył w baraku pralkę automatyczną. Danka po ciemku dolewa nam jugosłowiańskiego wermutu do szklanek i mówi: "Boże, jacy ludzie są dla mnie dobrzy".

Jutro Zbyszek na pewno już zamontuje tulejki - nigdy by jej nie zrobił takiego czegoś, żeby nie zamontować na czas. Po południu pójdzie chyba na działkę, przekopie trochę. Potem trzeba będzie coś zasiać. A potem zebrać. A niech się ciepłej robi, to zaraz wszyscy wyniosą na podwórko przed barak krzesła i stoły, i będzie można pograć w tysiąca albo po prostu posiedzieć na słoneczku, pogawędzić sobie. Boże, mówi Danka, jaki ten świat jest cudowny.

Na szczęście lakieruje berliety. Na szczęście - bo berliety mają czerwień i kość słoniową, a na przykład ciężarówki są wszystkie bahama albo popielate. To musi być okropne: po całych dniach wszystko malować na popielato.

Maluje realistycznie. Uważa, że natury nie należy deformować: jest zbyt piękna. Zresztą teraz wielu ludzi na świecie wraca do realizmu, choćby Chape-lain-Midy.

Na Międzynarodowym Festiwalu Sztuki Amatorskiej w Czechosłowacji otrzymał dyplom za dziewczynę klęczącą na łące i grającą na flecie. Wszystkie jego grające dziewczyny klęczą albo siedzą - kompozycja wymaga, że nie może stać dana osoba. Co lubi malować?

Wszystko podchodzi mu, ale najbardziej kobieta. Zwłaszcza akt kobiecy, bo ciało pochłania refleksy

107

106

i jest ciepłe. Mógłby to być na przykład akt na łące, też oczywiście z instrumentem, najlepiej ze skrzypcami, które mają przepiękną linię. Ale z drugiej strony rozumie, że nikt nago nie gra na skrzypcach i że ludzie by się z niego śmieli. Zresztą - może to byłaby już pornografia?

Artyści niezawodowi rzadko malują akty. Krępują się. Obracają się wśród ludzi, którzy mogliby ich źle zrozumieć i dopatrzeć się czegoś nieprzyzwoitego. Jedyny więc akt, jaki zrobił, to w drzewie: wyrzeźbił w lipie postać kobiety, a żeby usprawiedliwić jakoś jej obecność w pokoju, postawił na niej, zamiast głowy, telewizor.

Manet namalował akt, w którym ciało kobiety było białe. Biała kobieta leżała w białym tle - ale ileż tych cudownych bieli tam było. On też nie może się bez bieli obejść, ale - jak już mówił - biel bardzo trudno dostać, a jak już jest, to w komplecie, za sto czterdzieści złotych. Do obrazu wychodzą mu najmniej trzy tubki, więc wyniosłoby to czterysta dwadzieścia. A płótno gdzie? A książki? A albumy?

Po wystawie we Wrocławiu jeden pan z jury pytał go, czy rzeczywiście maluje po swojemu. Myślał może, że odwała z artystów, a on nic nie odwała, tylko po prostu nie potrafi inaczej. Ten pan z jury dość, owszem, podziwiał go, ale - powiada - za mało to wszystko naiwne.

Nazywają go "nasz Matejko". Nie tylko ze względu na sztukę: podobnie jak Mistrz jest niewysoki. Jeśli chodzi o ścisłość - metr pięćdziesiąt.

Lakiernia jest szara i hałaśliwa, a obrazy muszą być ciche i czyste. Proponowano mu, żeby malował motywy pracy, ale przecież na lakierni nie ma kolorów.

Nie ma też kobiet.

108

No i nie ma skrzypiec ani wiolonczeli. Jak można malować lakiernię?

W przeciwieństwie do Danki Budzisz wychował się

w domu rodzinnym. W przeciwieństwie do Pakosa

nie musiał po sześciu klasach iść do pracy, tylko

spokojnie skończył szkołę podstawową, zasadniczą

i technikum. W przeciwieństwie do Delikata, który

miał czworo rodzeństwa, matkę wdowę i dwa ha.

nigdy nie musiał zaraz po wypłacie kupować smalcu

i cebuli, żeby mieć bazę na cały miesiąc, ponieważ

sześćhektarowe gospodarstwo z łatwością żywiłc

jego i jego brata. A gdyby nawet zdarzyło się, jał

Delikatowi, żeby mu ukradli garnitur, to przede

wszystkim nie byłby to na pewno pierwszy garnitui

w jego życiu, po drugie nie byłby granatowy w białj

prażek, tylko przypuszczalnie dżinsowy, z Elpo, a p<

trzecie - od razu by poszedł i kupił nowy. Tyle.żi

o dwa tysiące odłożyłby tego miesiąca mniej na PKC

Mieszka w Wojnowicach, dziewięć kilometrów o<

Jelcza, dwadzieścia od Wrocławia. Jest w Wojnowi

cach dziesiątym z kolei człowiekiem, który ma wyż



sze studia. Jego poprzednicy pracują w różnych miastach - w Poznaniu (dyrektor techniczny "Cegielni"), Zabrzu (konstruktor maszyn górniczych Wrocławiu (asystent na Politechnice), pozostali mieszkają jeszcze w akademikach, ale i tak wszyscy na święta albo wolną sobotę zjeżdżają do Wojnowii idą razem do dyskoteki do Czernicy albo na brydż do klubu "Ruchu", albo po prostu na spacer pogadają. Te wspólne rozmowy dają Skrzydłowskiemu dymyślenia. Kiedyś, na przykład, koledzy dyskutowali o Francji i on uprzytomnił sobie, że nic na ten temat nie wie i nie może nawet do rozmowy się włączyć. Przez parę tygodni czytał wtedy systematycznie:

topił i już wiedział, że będzie miał co jeść przez cały miesiąc. Z drugiej pensji kupił sobie pierwszy w życiu garnitur, za sześćset złotych (ten granatowy, w biały prążek) i miał w nim iść w sobotę na zabawę do Miłoszyc, ale ktoś mu garnitur ukradł i nawet słoik ze smalcem mu zabrali ("Płakałem wtedy jak dziecko, uwierz pani?"). Następnie Kazimierz Delikat przyuczył się do zawodu i został tokarzem, w tym roku kończy studia na politechnice, kiedy zaś Gierek przyjechał do Jelcza, to Delikat był tym, którego poproszono o udzielenie odpowiedzi na pytanie, czy dadzą sobie radę z berlietem bez francuskich części. W tym to momencie sfotografowano ich i zdjęcie Kazimierza Delikata z Edwardem Gierkiem w "Trybunie Ludu" na pierwszej stronie widzieli wszyscy w Jelczu i wszyscy we wsi Jawornik Nie-bylecki.

Delikat przyjeżdża do Jawornika, do siostry i do szwagra, rzadko, tylko na Wszystkich Świętych. Inne święta spędza albo z Marianem Grabczyńskim, frezerem, z którym kiedyś pracowali razem maszyna koło maszyny, lub z Piotrem Litwinem, brygadziwą.

Moja wypowiedź jest taka, mówi Piotr Litwin. On życiowo podchodzi do spraw i o to głównie się rozeszło w jego awansie.

Co to znaczy - życiowo podchodzić do spraw? Delikat wyjaśnia to na przykładzie własnym. "Powiedzmy, że jak byłem w Miłoszycach na zabawie w niedzielę, to niemożliwością było, żebym w poniedziałek pracował jak potrzeba, chyba to jasne. Ale w następnych dniach wszystko co do sztuki nadganiałem i teraz jako kierownik wiem, że jeśli komuś praca w poniedziałek nie wychodzi, to nie trzeba robić tragedii, byleby później nadgonił.

Nowy kierownik, który przyszedł na miejsce Delikata, gdy Delikat awansował, chciał na przykład

zwolnić Pakosa dyscyplinarnie z pracy. Pakos potrafi po wypiciu nie przyjść, to jest prawda, ale kiedy nadchodzi z dwutygodniowym opóźnieniem złączki do podwozia i trzeba zostawić całą załogę na wieczór albo i na noc, nawet bez uprzedzenia, bo są już o czternaście wózków do tyłu (do szatni się nieraz leci i błaga - panowie, nie ubierajcie się, trzeba zostać), kiedy jednym słowem zakład jest w sytuacji krytycznej, to właśnie Pakos jest tym, który zostanie bez wahania, bez prośby nawet. Zostanie tak długo, jak będzie trzeba, i błotniki zespawa po prostu idealnie, i taką rzecz trzeba koniecznie wiedzieć o człowieku.

112

8 - Sześć odcieni..

DROGA

Noc, w ciemnościach światła maszyn, samochód firmy Steyr wlewa gorącą masę do maszyny firmy Blow-Knox i odjeżdża, maszyna rusza rozrzucając masę, za nią

ruszają walce na licencji firmy Hamm, potem cofają się, potem do przodu, cofają się, do przodu, nadjeżdża nowy steyr z masą - Blow--Knox - Hamm - steyr odjeżdża, kilkaset metrów dalej w samochodzie pomocy technicznej drzemie kierowca, dlaczego pan śpi - pyta dyrektor, przecież wszystko chodzi - mówi kierowca (nie ma steyra z masą), to co z tego - krzyczy dyrektor - będą pana budzili dopiero jak stanie? I bliżej, bliżej, przy samych maszynach pan musi być!!! (Steyra nie ma z masą, może kruszywa nie dowieźli, bo nie rozładowali wagonów? Może nie mogą rozładować, bo operator do pracy nie przyszedł? Może operator przyszedł, tylko jest pijany? A może operator jest trzeźwy i kruszywo jest, tylko marini się zepsuł? MOŻE ZEPSUŁ SIĘ MARINI?!) Nadjeżdża steyr z gorącą masą...

Kilometr 212

(Warszawa ma kilometr 0, Katowice 250, posuwamy się z południa ku Warszawie).  
Narada koordynacyjna.

Za wszelką cenę trzeba oświetlić trasę, to jest sprawa polityczna. Wojewoda powiedział: nie może tak być, że świeci się na całym szlaku, a tylko w Częstochowie jest ciemno, mogą różni potem powiedzieć: "dlaczego akurat w Częstochowie jest ciemno?"

Dyrektor Elektromontażu mówi, że nie ma kabla. Zjednoczenie się podliczyło i nic już nie może dać. Wicewojewoda jeszcze szuka trzydziestu kilometrów, jak tylko znajdzie gdzieś, zaraz położą, a na razie idzie notatka do wicepremiera. Ale słupów też nie ma.

- Gdyby pan trochę jeszcze dorzucił na tę mobilizację - mówi dyrektor Elektromontażu do dyrektora Zarządu Autostrad - to do poniedziałku zaczęłyby słupy spływać.

- Pięćdziesiąt tysięcy.

- Trochę mało...

(Dyrektor Rozbiciu z Autostrad, lat 45: "W hucie Bieruta mówią mi - nie ma godzin na zrobienie, więc dajemy fundusz na nadgodziny i wychodzi irn po tysiąc złotych za maszt. W Elektromontażu mówią: podwykonawca nie zrobi słupów oświetleniowych. Dajemy na nadgodziny, wypada po sto złotych za słup - no i to jest to wyzwalanie rezerw, o, trafiłem chyba w sedno: wyzwalanie rezerw, czyli kształtowanie postaw, innymi słowy". Dyrektor Wojciechowski, naczelny Zarządu Autostrad, lat 60: "Kto ma pobrzękacze, ten ma posługacze, tak przynajmniej mówiła moja babcia").

To co z kablem?

Dyrektor Rozbicki do jednego z siedzących:

- A gdybyście tak, drogi dyrektorze, poszukali u siebie?

- Nie znajdzie się.

- Te parę kilometrów, panie dyrektorze? My fi-

114

115

nansowo, wiecie, zrewanżujemy się, i o żadnych starych sprawach już nie będziemy pamiętali.

- Rozznam na magazynie, chociaż wątpię.

- Jeszcze i list do wojewody pošemy z podziękowaniem, albo i do wicepremiera.

- Spróbuję rozeznac coś do środy.

Kilometr 210

Budowa estakady, inżynier Materek:

- Powiedzieć pani szczerze? W dzisiejszych czasach niczego nie trzeba mieć. Im więcej się ma, tym bardziej to człowieka wiąże, a jak człowiek jest związany, to już nie może być wolny.

Człowiek musi być wolny, to przede wszystkim.

Koledzy mają piękne mieszkania i drogie meble, a wieczorem idą do kumpli, którzy mają takie same mieszkania i bardzo podobne meble, i to nawet nie jest złe, tylko że z tymi meblami już się nie można ruszyć, a znów zostawić szkoda. Od czego człowiek może być wolny?

Może, powiedzmy, zmienić coś w dokumentacji, którą mu dają. Zbuduje wtedy szybciej - wszyscy bardzo lubią, jak się szybciej buduje, a my załatwiamy sobie wolność od cudzych pomysłów.

Budujemy wiadukty i mosty. Tego, co jest na górze, nie da się zmienić, bo to są prefabrykaty, ale zawsze można zmienić fundamenty, i to jest nasza druga wolność.

Zmienialiśmy fundamenty za każdym razem: przy mostkach na Radomce, w Skarżysku przy wiadukcie, w Piotrkowicach. W Skarżysku przyspieszyliśmy dzięki temu całą hecę o rok, co jest bardzo ważne, wytłumaczę pani, dlaczego.

Jestem kierownikiem budowy, a taki kierownik to popychle, któremu każdy dyrektor może się zwalić na głowę i mądrzyć, zwłaszcza jak jest opóźnie-

116

nie - gdybyśmy tu, na estakadzie, byli do tyłu choć o parę dni, to jednego dyrektora mielibyśmy na stałe, drugi by codziennie dzwonił, kolego, to nie tak, kolego, tamto inaczej... Więc jedyny sposób, żeby nam się nikt nie wchrzaniał, to robić szybko. Myśmy się wycwanili tak, żeś, od razu idziemy do przodu i wyprzedzamy harmonogram o dwa tygodnie. Tamci są zadowoleni z nas, wpadną, uściskną ręce i jadą dalej, a my mamy spokój od nich, i decydujemy sami, i jesteśmy wolni - przynajmniej tu, na budowie.

Kilometr 182

Z prac komisji odbioru.

Przedstawiciel inwestora trzyma w ręku zwój papieru zwany tabulogramem, otrzymany z amerykańskiej maszyny wypożyczonej specjalnie z Poznania. Maszyna bada jaakość nawierzchni, nią czujnik reagujący na nierówności oraz komputer wyrzucający taśmę z precyzyjnym wynikiem pomiaru.

W miejscu, w którym zaczynamy prace, dwóch pijanych chłopców, operator i pomocnik, wracających z odpustu, wzięło spychacz i wjechało do stawu. Do poszukiwań ściągnięto pławonurków jednostki desantowej, dwa metry pod wodą znaleziono ciała i spychacz, który przekazano na złom.

Nie tylko pomiary nawierzchni są precyzyjne. Dzisiaj wszystko na budowie dróg jest naukowe i nowoczesne, od map do kontroli. Kiedyś drogowiec szedł sobie polem, ewentualnie jeździł bryczką i wyznaczał przyszłą drogę wbijając drewniane paliki, potem układało się na tej drodze kostkę na kolanach i wiadomo było dokładnie, ile człowiek może wykopać ziemi albo ile wytłuc kamienia, albo ile ułożyć. (Wykopać mógł osiem metrów sześciennych przez dzień, a kamieni wytłuc - jeden metr sześcienny).

117

Wiadomo też było, że więcej zrobić nie może, toteż nikt od niego i nie" oczekiwał więcej. Jeszcze w 1953 r. drogę Białystok-Granica Państwa na kolanach się robiło, sześciuset ludzi układało kostkę, a sześciuset wozaków wozilo materiały, i było bardzo przyjemnie, bo ludzie byli blisko siebie, mogli pogawędzić, zawrzeć przyjaźnie w mijanych wsiach, zorientować się, że najlepsza gorzałka jest koło Rakowa, bo robiona ze śliw damachów, które mają dużo cukru, kiełbasa jest doskonała w okolicy Hajnówki, najładniejsze dziewczyny są w Opatowie Kieleckim, a najbrzydsze koło Ciechanowa. Od kiedy zaś całe to żelastwo maszyn się zaczęło - ludzi jest coraz mniej, a każdy zamknięty w swojej kabinie, i nie ma już nawet czasu porozmawiać, bo tylko o to idzie, żeby ze wszystkich ludzi i wszystkich maszyn wycisnąć to maksimum.

A więc mapy robi się dzisiaj przy pomocy zdjęć lotniczych i komputerów, które dają obraz terenu w postaci cyfrowej, drogę buduje się maszynami, a mierzy elektronicznym czujnikiem - ale komisja odbioru oprócz tych zwojów wyrzucanych z

komputera ma jeszcze i łatę. Deskę czterometrową, wygładzoną starannie, którą na polecenie przewodniczącego komisji majster kładzie co jakiś czas na drodze, w poprzek i wzdłuż, sprawdza, czy przylega szczelnie, a jeżeli nie, to w szparę wsuwa mały drewniany klinik z podziałką. Szczelina może mieć do dziewięciu milimetrów według normy (polska norma nie uwzględnia jeszcze pomiarów robionych amerykańską maszyną), ale ta nawierzchnia jest pierwszorzędna, więc majster śmiało zaprasza komisję, żeby sama sprawdziła na kliniku: dwa, trzy milimetry, nie więcej. Potem dopiero komisja sprawdza w tabulogramie: aha, tak samo.

Kilometr 180

Za tym lasem zaraz, mówią dwaj panowie z rejonu dróg, na kartoflisku, zastrzelił się młody hrabia Denhoff, który kochał się w chłopce z Borowna. Stary hrabia wziął ludzi i podpalił jej dom, a panicz, kiedy zobaczył ogień, zastrzelił się na miejscu. Przy czym jedni mówią, że zastrzelił się od razu, a drudzy, że najpierw wyniósł jej zwęglone ciało, w każdym razie do dziś na kartoflisku stoi pamiątkowy obelisk. (Stary hrabia nie mógł sobie dać przetłumaczyć, zbudował samotnię i już w niej siedział do końca życia, na przyjęcia nie chodził ani nic). Na obelisku były do niedawna płyty marmurowe, a przed samotnią - fontanna. Płyt już nie ma, bo taki marmur jest bardzo dobry do ostrzenia narzędzi i brzytw. I fontanna rozwalona - może o rurkę żelazną od wody chodziło, bo ułamano kawałek. Ludzie tu są nadzwyczaj zapobiegliwi. Koło otaczarki marini trzeba było wartę postawić, tyle w niej jest kuszących rzeczy, a to silniczek nadający się ewentualnie do pralki, a to wąż gumowy - do spryskiwania, a to paski klinowe - do motoru. Wszystko się w dobrej gospodarce może przydać.

Kilometr 160

Mgr inż. Andrzej Nowak mówi, że ma dziwne przecucie do maszyn. Trzy razy psuła się otaczarka marini i trzy razy wyczuł to na odległość. (Marini robi masę bitumiczną na nawierzchnię, przez dob| dwa tysiące ton, na całej trasie są dwie takie maszyny i od nich zależy teraz dosłownie wszystko). Raz jedzie inż. Nowak w niedzielę do domu i nagle już przed Mszczonowem mówi - wracamy, coś stało się z marinim. Wrócili - marini stoi. Kiedy indziej miał przecucie już wcześniej. Kto wie, powiada,

118

czy dzisiaj z marinim coś się nie stanie. Było to rano, a w południe strzeliła awaria.

Do ludzi nigdy przecuć nie ma, a do maszyn zawsze.

Kilometr 157

W tym miejscu steyr, który jechał z operatorami do pracy, zderzył się z jelczem i jednemu z operatorów obcięło nogę powyżej kostki. Zabrali go do szpitala, a noga została w samochodzie i nie mieli pojęcia, co z nią zrobić. Zadzwonili do szpitala do ortopedy, ale lekarz powiedział, że człowieka mogą przyjąć, ale samej nogi nie. To jest w ogóle w Polsce problem nie rozwiązany, wyjaśnił im lekarz. Właściwie należałoby taką kończynę normalnie pochować albo postąpić zgodnie z wolą rodziny, choć mówiąc szczerze, oni w szpitalu robią tak, że przychodzi salowa, bierze kończynę w fartuch...

Zadzwonili na milicję - ich to nie dotyczy.

Do sanepidu - także nie.

Żaden z pracowników nie chciał się podjąć wyniesienia nogi, aż trzeba było do ludzi zaapelować i w końcu wykopali dół, czy raczej grób, i jeden z brygadzystów pochował nogę.

(Operator czuje się lepiej, wkrótce opuści szpital, starają się o dobrą protezę, a z pierwszej puli przyznano mu talon na fiata sto dwadzieścia sześć).

Kilometr 138

Aleksander Rupiewicz, operator otaczarki marini.

Pracuje po szesnaście, po osiemnaście godzin, tak na tej budowie wszyscy pracują, dzień i noc, bez domu, bez rodziny, bez święta, więc dziewiętnaście tysięcy sto to chyba nie są za duże pieniądze, w tym miesiącu zresztą dociągnie do dwudziestu.

W kabinie jest pulpit sterowniczy, naciskając klawisze uruchamia się wagę, mieszanie, ogrzewanie, spust, po czym, po zaprogramowaniu, wszystko zaczyna działać automatycznie.

Kabina jest przestronna i pachnie grzybami. Suszą się pod oknem - można by je powiesić na zewnątrz, przy ogniu ogrzewającym kruszywo, ale się kurzy. Aleksander Rupiewicz pochodzi ze wsi Marianów. Ojciec miał 21 morgów z reformy rolnej, dzieci było pięcioro, najstarszy brat prowadzi obecnie warsztat elektryczny, drugi jest oficerem, trzeci, elektryk sieciowy, też robi prywatnie, do tego ma działkę truskawek, czwarty jest hutnikiem, ale zrobił papiery czeladnicze i maluje mieszkania. I w rezultacie tylko on jeszcze nie zdecydował się na nic.

Kiedy sprowadzono pierwsze otaczarki marini, Ru-piewiczza posłano na kurs do Włoch. Mieszkał w Rawennie, a zwiedził jeszcze Florencję i Rzym, bazylikę Sw. Piotra widział w Rzymie i te mozaiki w Rawennie przedstawiające życie świętych, naprawdę coś pięknego, ale najbardziej ze wszystkiego w całych Włoszech podobały mu się dwie rzeczy: autostrada do Bolonii z tymi tunelami i pewien nieduży warsztat przy autostradzie, zaraz jak jest ten zjazd na lewo, na Rawennę. Wszedł do tego warsztatu do środka, i do restauracji, bo tam od razu i restauracja jest, i hotel, gość przy stoliku siada - a tu już kelner czeka na niego, wóz podjeżdża z naprawą - a tu już podskakują wszyscy, już powietrze sprawdzają i wodę uzupełniają w chłodnicy, darmo wszystko, w ramach grzeczności. Wie pani co, mówi Rupiewicz, ja już mam coś na oku. Taką działkę jedną, niedaleko Warszawy, przy autostradzie. Domek jest i budynek na warsztat i można by ulokować w tym te parę banko-

121

120

tów. Górkę by się dobudowało i byłby pokój gościnny. Żona poprowadziłaby kawiarnię. Uczniowie - trzech, czterech uczniów by wziął - zaraz by obstąpili samochód, kierowca nie zdąży z majstrem pogadać, a tu już wóz umyty, powietrze sprawdzone, w ramach grzeczności, jak w Rawennie całkiem...

Jeszcze kilometr 138

Inżynier B., trzy lata po studiach. Jest to niewątpliwie bardzo ciekawa budowa, ale tęskni się za stabilizacją i miastem.

Można by się teraz przenieść na Trasę Toruńską, ale tam i starsi inżynierowie będą się pchać, a mają pierwszeństwo. Więc można by do Czechosłowacji. Koledzy, którzy tam byli, mówią, że zarabia się 5 tysięcy koron, z tego część w bonach, jakby więc pojechali we dwoje, to, mieliby sto dwadzieścia bonów, a jedzie się na dwa lata, to byłoby dwa i pół tysiąca, akurat na meble i samochód. Z tym że o tę Czechosłowację jest bardzo trudno. Przedsiębiorstwo nie chce w ogóle o niej słyszeć, jeśli się nie pracowało przy budowie autostrady. Autostrada jest traktowana właściwie jako warunek, to jest taka transakcja wiązana. Paru kolegów tylko dlatego przyjechało tutaj - bo siedzą i czekają na swoją kolej. Tak że ta budowa jest dla młodych naprawdę bardzo ważna: jako doświadczenie zawodowe, jako szczególnie w biografii - udział w tworzeniu nowoczesnej arterii musi się w przyszłym awansie liczyć, no i jako warunek wyjazdu do Czech.

Kilometr 38

Na trasie opowiadają, że przy budowie odcinka Janki-Mszczonów kupowali żwir od pewnego biednego staruszka. Zarobił na nim trzysta tysięcy

i został (biedny, samotny staruszek) najbogatszym człowiekiem we wsi. Od sąsiadów nie mógł się opędzić, milicja pilnowała go dzień i noc, bo dostali cynk, że napad się szykuje (przestali mu wtedy wypłacać gotówką i ze względów bezpieczeństwa posyłać pieniądze do PKO), no, a dziewczyny to już po prostu nie dawały mu żyć. W końcu dziadek ożenił się z jedną ładną dwudziestolatką, ale podobno nie jest z nią całkiem szczęśliwy.

Tak opowiadają na trasie, sprzecząc się tylko o szczegóły - na przykład, czy ta dziewczyna była, naprawdę taka ładna - na 38 kilometrze zbaczamy więc w prawo i mijając dawną kopalnię żwiru idziemy do dziadka.

Z domu bucha smród (nie ma stworzenia gorzej śmierdzącego jak człowiek, mówi dziadek, zwłaszcza kiedy mu mocz samowładnie idzie). Jakaś staruszka siedzi w tym smrodzie, wśród roju much, wśród szmat, na barłogu - to osiemdziesięciosześcioletnia żona dziadka. Tej dwudziestoletniej nie widać. Pytamy, dlaczego tak biednie tutaj, a dziadek płacze, bo kiedy miał pieniądze, to było pełno ludzi: i kuzyni, i sąsiedzi z innej wsi, i chrześnica, i Baśka, i wszyscy asystowali mu i byli dobrzy, a jak już im wszystko pożyczył, to nie przychodzi nikt, choć myślał, że trochę będą się nim opiekowali.

Z sąsiadem, któremu pożyczył sto tysięcy, umówił się tak: w razie gdyby pieniądz był mniej wart, to za każde tysiąc złotych dostanie równowartość trzech metrów żyta. Ale czy sąd to uzna? Mógłby odegrać w sądzie całą sceną z taśmy, bo sąsiad schował mu wtedy do szafy gramofon, który wszystko nagrywa, tylko dziadek nie wie, czy coś się w ogóle nagrało: nie chciał, żeby sąsiad słyszał rozmowę przy sprawdzaniu.

- Możemy zobaczyć - mówię. Dziadek się oży-

122

123

- Przynieść magnetofon? Ale dziadek milknie.

- E, to już lepiej nie - mówi i patrzy podejrzliwie - - Ja już nic nie mam - dodaje. - Naprawdę nic. Piętnaście tysięcy na PKO, to wszystko.

Kilometr 18

Wyglądało to tak: od tyłu, od południa pracowały maszyny, od frontu pracowały maszyny, z boku, gdzie -była kiedyś stodoła, już szła autostrada, a pośrodku tego wszystkiego stał ich dom i oni powtarzali, że nie ustąpią. Trwało tak z rok chyba - autostrada i oni naprzeciw siebie, ale dyrektorowi Starcowi zdarzyło się już, że wszedł na czyjeś gospodarstwo przed formalnym wywłaszczeniem i musiał potem wszystko zasypać, tym razem więc wstrzymał roboty i czekał cierpliwie. Zbudowano im nowy budynek - z boku, wśród sosen, ale mury były jeszcze wilgotne i kiedy przyszedł naczelnik, żeby powiedzieć o przeprowadzce, Kosowski musiał wziąć widły, stanąć w drzwiach i krzyknąć, że przebije każdego, kto wejdzie pierwszy, a potem, trudno, niech sam zginie. Obok stała Kosowska z najmłodszym dzieckiem na ręku, dwoje starszych przy niej. Kosowska wrzeszczała, dzieci płakały, sąsiedzi zlecieli się i naczelnik musiał się cofnąć.

- Na tyle orientacji miałam - mówi Kosowska - że w Polsce nikt spychaczem przez dzieci i dom nie przejedzie, ale przecież musieliśmy pokazać.

Na drugi dzień przyjechał pan Frankowski z Autostrad, poprosił, żeby się przenieśli na razie do sąsiadów, więc się przenieśli, bo jak ktoś grzecznie prosi, to oni też idą na rękę, w niedzielę wyprowadzili się, a w poniedziałek w miejscu, gdzie stał ich dom, już była droga.

- I taka grusza tam była - dodaje naraz Kosowska i w płacz, i szlocha.

- Tak pani żał dawnego miejsca?

- E, co pani - i zaraz przestaje płakać. - Tam były bagna, a tu sosny.

Za 119 tysięcy odszkodowania już budują oborę, już jest plan nowego domu z holem, łazienką, loggią, trzema pokojami i garażem...

- No to czemu pani płacze?

- Bo należy w takiej chwili płakać, jak mówimy o takim smutnym.

Między Piotrkowem i Częstochową było siedemdziesiąt wsi i cztery tysiące czterysta działek, a nikt prawie nie zgadza się od razu na proponowane stawki, w 95 procentach wypadków przeprowadzono więc postępowanie wywłaszczeniowe zgodnie z ustawą. Ale jednocześnie prowadzono rozmowy. W sumie było cztery i pół tysiąca rozmów, ale drastycznych naprawdę niewiele. Raz tylko były widły, jeden raz siekiery i był jeden orczyk, ale bez przekonania (za każdym razem zatrzymywali roboty i czekali na decyzję). We wszystkich pozostałych przypadkach osiągnięto porozumienie, w czym oczywiście zasługa pana Frankowskiego, specjalisty od wywłaszczeń. Ma wypróbowanych geodetów, fachowców od rozmów z ludźmi, i dobrze wie, który pasuje pod który temat. Do staruszki posyła człowieka spokojnego, który poczeka, aż kobieta się wygada, i jeszcze podanie jej napisze. Do młodego rolnika, trudniejszego znacznie od staruszek, posyła się wywłaszczeniowca oblatanego w przepisach. Ale jeszcze gorsi od młodych rolników są chłopci-robotnicy. Rolnik - mówi pan Frankowski - to prosty, szczerzy, dobroduszny człowiek, a chłop-robotnik - ho, ho - ten to już się rozpuścił. Już wie, co to rada zakładowa, co komitet, już wie, gdzie i co się pisze. Pan Frań-

125

124

kowski mówi, że oni owszem, lubią pomóc i widzą człowieka za paragrafem, ale tym lepiej go widzą, im człowiek mniej jest świadom swoich praw, im prostszy, szczerzy, taki, jednym słowem, jaki powinien być prawdziwy rolnik.

Kilometr 0

(Skrzyżowanie Marszałkowskiej i Alej).

Dyrektor Starzec - czterdzieści lat na drogach i ułożonych 480 kilometrów - kieruje budową połowy drogi. Budował również odcinek Janki-Mszczonów. Po zakończeniu go rozliczył budowę i poszedł na zaległy urlop, a nazajutrz po powrocie z urlopu otrzymał pismo, że obniżają mu pobory i przenoszą na niższe stanowisko. Nie załamał się. Życzliwi koledzy od razu mówili mu - nie przejmuj się, tam się już zaczyna walić, na pewno cię przeniosą. I rzeczywiście. Kiedy okazało się, że po dwóch latach budowy zrobiono 45 procent prac, a na resztę zostało dziewięć miesięcy - mianowano go dyrektorem. Przyjął to bez zdziwienia: kiedy mu powierzano odcinek Janki-Mszczonów, wykonane było 3 procent prac. Tamta drogę i tak zrobił na czas, po czym, jak już mówiłam, wręczono mu pismo i był do tyłu o trzy tysiące złotych.

Teraz kończy odcinek Piotrków-Stobiecko. Przewiduje, że już wkrótce rozpoczyna się kontrole: czy przekroczył zużycie materiałów, a jak było z godzinami... Minister powiedział, że najważniejsze jest zdażyć na czas. Teraz ministrowie są blisko, ale później, po zakończeniu budowy będą dalej... On zresztą i tak nie będzie próbował się do nich dostać.

Wie przecież, że nikt nie zechce mu zrobić krzywdy. Najwyżej po premii poleca, to wszystko.

REAGUJE MOJE SERCE I DZIWNIE BOLI...

- Mam coś takiego w sobie, że w nocy wszyscy śpią, a ja się przebudzam i myślę, jak wygrać z tym Skoczowem, rany boskie, jak wygrać.

Tylko o dwadzieścia punktów są do przodu. Cóż to jest dwadzieścia punktów? Więc zobowiązali się do stu osiemdziesięciu sztuk trzody ponad plan: trzoda liczy się w punktacji najwyżej. Oczywiście, nie wiadomo, z czym rywale wyskoczą, na wszelki wypadek więc sam kupił sto dwadzieścia cyckowych prosiaków i rozpoczął hodowlę. Prawdę mówiąc barany opłacają się w tej chwili bardziej, było bardziej, ale ponieważ państwu potrzebna jest trzoda, zaś im potrzebne są

punkty w Banku .Miast - rzucił się na trzodę i to jest - mówi pierwszy sekretarz komitetu gminnego tow. Dudek - ten mobilizujący przykład dla całego środowiska. Hodowla jest nowoczesna: z dwupiętrową baterią za sto pięćdziesiąt tysięcy, taką samą, jaką ma Władysław Dudek w Rybiu Starym, a nawet lepszą jeszcze, bo Dudek ma duńską, zaś Smoleniowi zrobił baterię POM w Limanowej. Kiedy Dudek przywiózł swoją z Instytutu w Gdyni, Smoleń z pierwszym sekretarzem pojechali ją obejrzeć. Spodobała im się, owszem, ale od razu powiedzieli sobie, że duński model wymaga ulepszenia, bo koryto powinno być

127

ruchome. Tak też POM to zrobił i teraz zjeżdżają do Smolenia ludzie z całej gminy, nawet rywale ze Skoczowa zaglądali już, a każdy zaczyna, naturalnie, od kijów. "Ma trzy patenty na kije hokejowe i bierze się za wieprzki? Widać - zaraz odpowiadają sami sobie - coś w tym musi być..."

Trzeba wiedzieć, że kije hokejowe, które robi Smoleń, są najlepsze na świecie. Tak przynajmniej uważa Walery Charłamow, a i Bili Warwick napisał mu z Kanady list: "Był to najlepszy kij, jakim w życiu grałem". Faktem w każdym razie jest, że na mistrzostwach świata w Katowicach w każdej drużynie łamało się po osiem, dziesięć kijów przez mecz, a Polakom pękły tylko trzy.

Taki kij to jak Stradivarius, tłumaczył mi kiedyś Jasio Świerczek, sekretarz POP w Męcinie, który oglądał "Bonanzę" i pamiętał, co Zsa Zsa Gabor mówiła o włoskim lutniku. W istocie. Smoleń ze swoją pracownią w piwnicy przypomina artystę ludowego o wiele bardziej niż rzemieślnika. Niby każdy fachowiec wie, jak kije się robi, a jednak trzeba mieć tę dziwną intuicję do drewna, które ma tyle tajemnic, że nawet Smoleń ich do końca nie poznał, i trzeba wiedzieć nieomylnie, który kawałek lubi być z którym łączony, i trzeba wyczuć to obce pió-reczko, które się wkłada w łopatkę... Zresztą - już robi tych kijów coraz mniej. Nawet sekretarz Dudek, do którego bez przerwy dzwonia to z Huty "Bail-don", to z klubu "Podhale" Nowy Targ, prosząc, by po linii partyjnej na Smolenia wpłynął - nawet sekretarz jest zupełnie bezsilny: jako hodowca Smoleń musi zająć się trzodą, jako sekretarz rolny komitetu gminnego - młodymi rolnikami przede wszystkim, bo jest ich, tych przed trzydziestką, trzydzieści procent na 4800 gospodarstw w gminie i na nich to, wykształconych i prężnych, komitet w swej

pracy na wsi przede wszystkim stawia, no a jako mieszkaniec wsi Męcina Smoleń musi wreszcie przystąpić do budowy domu kultury w czynnie społecznym.

Od kiedy Smoleń otrzymał za te czyny nagrodę "Trybuny Ludu", Męcinie przybyło: jedenaście mieszkań dla nauczycieli w budynku za trzy i pół miliona złotych, punkt skupu, pawilon handlowy, przystanek kolejowy, kilkanaście kilometrów dróg... Ale Smoleń opowiada już o tym spokojnie. Trzy lata temu każde wspólne przedsięwzięcie było jak wygrana bitwa. Jednego pola bronił przed spychaczem, wyznaczającym drogę, chłop z siekierą. Na drugim krzyczeli "Antychrysty idą". Na trzecim Iwaśka rzuciła się na ziemię, wprost pod spychacz, wrzeszcząc jak opętana: "Zabijcie mnie! Tuzabijcieeeee!!!" - i sekretarz Smoleń musiał wytaszczyć ją spod gasienic. A kiedy chcieli kupić od babci Świdrowej kawałek parceli pod ośrodek zdrowia, to okazało się, że babcia została uprowadzona. Spadkobiercy, nie chcąc dopuścić do uszczuplenia gospodarstwa, uwieźli Świdrę w nieznanym kierunku, i pojechali wtedy kolektywnie, we czterech, Jasio Jabłoński jako przewodniczący rady, Smoleń - sekretarz, Jarończyk - kierownik szkoły i dziadek Kuzak - aktywista i szukali babci po całej okolicy. Dżykową Górę przeczesali i po drugiej stronie Marcinkowice, aż wreszcie znaleźli babcię ukrytą w domku w lesie. Od razu też wyciągnęli akt kupna, odczytali wyraźnie, na głos, i babcia, Świdrowa Józefa, uroczyście swój podpis złożyła.



A dziś spowszedniało wszystko. Bez ośrodka zdrowia na babcinej parceli, z trzema lekarzami, nowoczesnym sprzętem i apteką, do której przyjeżdżają po lekarstwa aż z Nowego Sącza, nie można już w

129

128

Sześć odcieni...

ogóle Męciny sobie wyobrazić. Kiedy zaś ostatnio wykupili od Wiewiórowej kawałek ziemi pod przystanek kolejowy, budowany społecznie, to nikt nikogo nie uprowadzał w góry, tylko po prostu sekretarz Smoleń z panią Wiewiórową ugodzili się prywatnie na dziesięć tysięcy złotych. Sześć wręczył jej Staś Oleksy z komitetu budowy i były to pieniądze ze składek, a cztery dał przy trzech świadkach sekretarz Smoleń. Co prawda syn Wiewiórowej mówił - ty idź lepiej do Limanowej, sprawdź, czy cię nie chcą oszukać - ale Wiewiórowa mówi o tym raczej niechętnie, bo kiedy poszła do Urzędu Gminnego, to okazało się, że należy jej się według cennika dwa tysiące. Naczelnik pytał potem Smolenia, po co było dopłacać jej osiem? A Smoleń odparł: "Żeby wszyscy byli zadowoleni we wsi z tego wspólnego czynu i żeby żadnych zadr nie było w naszej pracy partyjnej". Siedzimy teraz u Wiewiórowej w chałupie, z okien widać gotowy już przystanek, i rozmawiamy o tym, że jeszcze ich dziadkowie o taki się starali, ale dopiero oni sami go zbudowali sobie, i mówimy jeszcze, że to napewno też pójdzie na punktację do Banku Miast, i że jaka szkoda wielka, bo Kazio Wiewióra tego wszystkiego już nie doczekał, a Smoleń nagle powiada:

- Ja panią serdecznie przepraszam, pani Wiewiórowa, ale czy pamięta pani, jak nieboszczyk Kaziu z tym Jaśkiem się tłukł?

- Pamiętam, panie Bronku - wzdycha Wiewiórowa - pamiętam. Kaziu, świeć Panie nad jego duszą, lubił człowieka trzasnąć, a cóż dopiero Jabłońskiego Jasia.

I znów oddajemy się wspomnieniom, bo to przecież Jabłoński powiedział pierwszy Wiewiórze, że droga powinna przejść przez jego pole, ale Smoleń

130

na szczęście przytrzymał obu i od siebie odciągnął. Rok temu tę trzykilometrową drogę zrobili i w zeszłym tygodniu Jakub Siciarz przewiózł nią tonę siedemset węgla jednym koniem, a przedtem to w parę koni i tylko latem dawało się przejechać. To z Jasiem zresztą nie było jeszcze najgorsze. O ileż gorzej było z Wiewióra, tym trzecim, bo jest w Ma-cinie Wiewiórów trzech - jeden, Kaziu, co Jaśkowi do gardła skakał, a Jasiek tylko "aaaaaa" i całe szczęście, że sekretarz Smoleń zdażył na czas, drugi Wiewióra to Wojtek, ale ten był spokojny, może dlatego, że żaden czyn społeczny nie był na jego polu, no i z trzecim właśnie, Wiewióra Mięciem, przodującym inseminatorem było tak, że co wieczorem wyznaczili pięćdziesięcioma palikami drogę, to rano już dwadzieścia palików było wyrwane, co wieczorem wyznaczają, to rano wyrwane. Smoleń opanował wtedy sytuację tak: wziął Wiewiórę i Gawlika i powiedział: "Góźdzcie się". A oni mieli zadry rodzinne od dziesiątków lat i kiedy im Smoleń kazał podać sobie na zgodę ręce, zbaranieli tak, że nawet nie usłyszeli jak spychacz - tra-ta-ta - i już przeszedł przez ich pola.

Gawlik z kolei, który się z Wiewióra godził, to nie był Marian Gawlik, tylko Stach. Marian to był ten, co jak się dowiedział, że droga ma przejść przez jego pole, wziął na wózek połówkę cielaka, który cały z osiemdziesiąt kilo ważył, i przywiózł Smole-niowi w prezencie. Musiał ten wózek z powrotem pchać pod górę do domu, choć Irena Smoleniowa mówiła: "Zapłaćmy mu, Bronek, co będzie bidula z tym ciężarem wracał..."

Pech chciał, że wkrótce potem naczelnik przyszedł prosić Smolenia o pomoc: droga musi jednak przejść przez Gawlikowe pole, a nikt inny się przecież z Ga-wlikiem nie dogada. Smoleń poszedł wtedy i mówi:

"Widzisz, chłopie, cielaka nie chciałem wziąć, a teraz cię od serca proszę, zgódź się". I Gawlik się zgodził. - I to jest właśnie ta specyfika pracy partyjnej - mówi Smoleń - na naszym terenie.

Gmina Limanowa to teraz dwa razy większy teren niż przed reformą. Przyłączyli całą Łososinę i wszystkie okoliczne wsie i sekretarz rolny Komitetu Gminnego partii, Bronisław Smoleń, musi dbać o wszystkich jednakowo, nie tylko o swoją Męcinę. Toteż kiedy ludzie z Siekierzyny zaprosili go na zebranie - nie mógł odmówić.

Wszedł na salę - a tam zebrała się cała wieś, kobiety świeżo po kursie garmażeryjnym przygotowały poczęstunek, zaś Waleria Mruk, dyrektorka szkoły i prodująca rolniczka zarazem, zagaiła następująco: "Jak mieszkam w Siekierzynie dziewiętnaście lat, a mój mąż od urodzenia, tak nic tu nigdy ludzie nie zrobili razem. Nawet tych ścieżeczek przez pola nie chcieli poszerzyć i chorego dzieciaka trzeba zimą siedem kilometrów do Limanowej nieść na rękach, bo żadna furmanka nie przejedzie. No to jak sami nie potrafiliśmy choćby tej drogi zrobić - może nam towarzysz Smoleń pomoże?" Tak zakończyła Waleria Mruk i było to dość osobliwe zagajenie, bo wychodziło na to, że ludzie z Siekierzyny muszą Smolenia prosić, żeby nauczył, jak pracować wspólnie dla dobra ich własnej wsi.

Wszyscy na tym zebraniu się zgodzili, że drogę trzeba zrobić, i wyznaczili dzień, kiedy przyjedzie spychacz i trasę wytyczy.

Na odcinku między sklepem i szkołą żadnych kłopotów nie było. Waleria Mruk z nauczycielkami obeszy gospodarzy i wiedziały, że się na przejście spychacza zgodzą. Kłopoty mogły zacząć się dopiero od szkoły. Zaraz z brzegu był sad Lisa, dalej karto-

flisko Wątroby, dalej pole Górki Teofila, który l w partyzantce... W ogóle Siekierzyna to była i ważna, partyzancka wieś, a taka zadziorność na d go w ludziach pozostaje. Toteż kiedy miał prze spych - sekretarz Smoleń stanął przed nim i ] wiedział: pójdę przodem.

Cała wieś wyległa. Wszędzie stali ludzie, na-v naczelnik gminy przyjechał, ale nie szedł koło Sn lenia, tylko bardziej z boku, wmieszany w tłum.

I tak szli przez Siekierzynę: Smoleń sam jed na przodzie, za nim spych, dalej dopiero res; ludzi.

Nic się w końcu nie zdarzyło: ani Lis, ani Wąti ba, ani Teofil Górka nie odezwali się słowem. Sn leń przeszedł całą drogę, a idąc myślał sobie, że jest wszystko trochę tak jak na dziwnej scenie. < idzie przez tę scenę sam, a ludzie dookoła są M dzami. Było mu przykro, że idzie sam, bo naw ten naczelnik pozostał z boku, w tłumie (ludzi Męciny, z którymi czułby się raźniej, nie chc ze sobą zabrać), ale pocieszał się, że to dlatego, wszystko dzieje się w Siekierzynie pierwszy r, Ludzie nareszcie próbują coś zrobić razem, ale jes cze są nieufni, jeszcze wahają się... Potem to się pewno zmieni, jak się zmieniło w Męcinie. Bowi« czyny społeczne to nie jest tylko ten rezultat, apl ka albo droga, albo dom. Może nawet rezultat r jest najważniejszy wcale. Najważniejsza jest prą razem, jeden koło drugiego i obecność, i rozmo\ wspólne... W mieście można dzięki pracy społeczzr wybić się, awansować. Im, chłopom, awans nie je potrzebny. Jeśli we wsi ktoś chce pracować z part to tylko dlatego, że praca ta daje konkretny, prął dziwy wynik. Dlatego właśnie w Męcinie po każdy wspólnym przedsięwzięciu kilku ludzi wstępowało

partii i z początku było ich siedmiu, a dziś jest dziewięćdziesięciu...

O tym wszystkim myślał Bronisław Smoleń idąc przed spychaczem we wsi Siekierzyna - tak przynajmniej dziś mówi: że myślał. Ale może już dobrze nie

pamięta, może przyszło mu to do głowy znacznie później, po wszystkim już, a wtedy baczył tylko, by Wątroba nie skoczył na niego jak niegdyś Kazik Wie wióra na Jaśka...

Waleria Mruk mówi, że od tamtego dnia zaczęło się we wsi Siekierczyna nowe życie. Zastanawiamy się więc z towarzyszem Dudkiem, sekretarzem KG, dlaczego do tego nowego życia potrzebny był im Smoleń.

Towarzysz Dudek pracował przedtem w Komitecie Powiatowym w Limanowej. Byli wtedy jeszcze towarzysze na dole - w komitetach gminnych i miejskich - i im to mówiło się, co i jak trzeba zrobić. A teraz - powiada tow. Dudek - nie ma już nikogo "na dole". Na dole są oni właśnie i to oni do ludzi idą, żeby powiedzieć, co, ich zdaniem, powinno być zrobione. W bezpośrednim kontakcie z każdym rozmówcą i w każdym przedsięwzięciu sprawdzają się teraz działacze, a nie jest to łatwy egzamin. W najważniejszych zadaniach, które przed gminą stoja, niepodobna wydawać poleceń. Nie można polecić ludziom, by hodowali więcej świń albo zrobili drogę. Skuteczność zależy (poza ekonomicznym bodźcem) od autorytetu człowieka, który zabiega o te świny i drogi.

Tow. Dudek mówi, że działania Smolenia są skuteczne. Nie dlatego przecież, że Smoleń znajduje trafniejsze argumenty od innych. W opinii ludzi decydujące jest to, kim jest Smoleń i co sam potrafi zrobić.

Wiadomo:

jeśli Smoleń robi kije, to są na światowym standardzie,  
jeśli zakłada hodowlę, to opiera się na najnowocześniejszych metodach i szybko osiąga rezultaty,

jeśli buduje dom, to porządny, z wygodami,

jeśli jedzie do miasta załatwić dla wsi spychacz albo materiały, albo przystanek, to zawsze wraca z załatwioną sprawą.

Smoleń jest nie tylko ofiarnym społecznikiem, lecz i kompetentnym, sprawnym fachowcem, którego rozsądkowi można zaufać.

- Mam coś takiego w sobie, że jak patrzę na zło, to reaguję, a reaguje moje serce i dziwnie boli...

Tak mówi Smoleń.

A ludzie wcale nie mówią o jego sercu, tylko o jego trzodzie i kijach.

134

#### CORAZ MNIEJ PYTAŃ

Jest ich czterech, dwaj ciemni, po ojcu, i dwaj po matce - jaśni.

Ciemni są poważni i roztropni, a jaśni - nieżyciowi.

Najlepszy dowód: jak jasnemu wpadnie tysiąc złotych, to zaraz zaprasza trzech pozostałych, ich żony, dzieci, przyjaciół i wszystko przepuszcza. A ciemny mówi wtedy, że gdyby dołożyć jeszcze dwieście pięćdziesiąt, to można by już kupić równy tysiąc używanych cegieł.

No i oczywiście - ciemni doszli do czegoś w życiu, do domów, stanowisk i aut, a jaśni żyją z dnia na dzień i są coraz bardziej śmieszni.

Czy to dlatego właśnie, czy dla jakichś innych przyczyn (może, na przykład, dla wielkiej, bezinteresownej życzliwości, powiedziałabym - aktywnej życzliwości dla ludzi) - obaj jaśni, nieżyciowi bracia byli sobie zawsze bardzo bliscy.

Jeszcze w domu, w dzieciństwie. I później, gdy jeden został działaczem politycznym, a drugi księdzem. I nawet - kiedy obaj stanowili dla siebie haczyk w ankiecie. Brat ksiądz dla działacza, brat komunista dla księdza.

Ksiądz ma teraz parafię w Prochownicy. Były działacz mieszka w Nielubinie, pracuje w Spółdzielni

"Zryw" i jest cenionym działaczem sportowym (specjalność - koszykówka).

Pierwszą po święceniach pracę ksiądz otrzymał w Żagarach. Parę miesięcy po jego przyjeździe trzy młode dziewczyny popełniły samobójstwo. Niestety zakochane w gajowym z pobliskiego nadleśnictwa, związały się sukienkami i utopiły nocą w basenie. Rodziny przywiozły do kościoła trumny, a przed kościołem klębił się tłum, który wygrażał księdzu, bo wpuścił samobójczynię do domu bożego.

Tego właśnie dnia (przyjechałam do Żagar, dowiedziawszy się z gazet o tragicznym zdarzeniu) poznałam księdza.

Był sam - i przez okno plebanii spoglądał na wygrażające mu kobiety. Proboszcz wyjechał w przeddzień i ksiądz musiał teraz podjąć decyzję...

Wyszliśmy z budynku plebanii. Ksiądz zrobił dwa kroki - otoczył go wrzask tłumu - zawahał się.

- Niech pani wejdzie ze mną - poprosił. - Będzie mi rażniej...

Przepychaliśmy się więc razem i weszliśmy przez zakrystię do kościoła.

Trzy białe trumny już stały: jedna pośrodku, na katafalku, dwie na ławach.

Kościół żagarski nie miał przecież trzech katafalków.

Ksiądz podszedł do ołtarza, ukląkł i zaczął się modlić. Sam na sam ze sprawą, którą miał rozstrzygnąć za chwilę i którą rozstrzygnął - on, młody wikary - na przekór prawu kościelnemu.

Wstał. Powiedział: "Bóg jest bardziej miłosierny od naszych kościelnych ksiąg".

I podszedł do trumien.

Musiał sam wyjąć, wyrwać prawie, kropidło z rąk młodej zakonnicy. Sam sobie odpowiadał podczas "Requiem", bo organista milczał demonstracyjnie...

Władze kościelne nie czyniły mu potem wymówek.

136

137

T

Ściślej - nie miały pretensji o pogrzeb, ale wyrażono niezadowolenie z powodu słów: "Bóg jest bardziej miłosierny niż nasze księgi".

"Czy to nieprawda?" - zapytał ksiądz. - "Ależ tak - powiedziano. - Prawda. Tylko po co ludzie mają wiedzieć o tym".

W Żagarach nikt już, oczywiście, nie pamięta tamtych odległych zdarzeń. Zakłady Odzieżowe, w których pracowała jedna z dziewcząt, Maria P. (Mariola - mówiły koleżanki o niej, Maryśka - zawodziła matka na chłopskim wozie przed kościołem), już nie przypominają w niczym dawnej prowincjonalnej fabryczki.

Wytworny magister inżynier Protas, dyrektor techniczny, pokazuje dziś dziennikarzowi płaszcze, na widok których sam pan Brinkmann z RFN - a już kto jak kto, ale on się zna na tym interesie - wołał, że o żadnych innych jak żagarskie nie chce słyszeć nawet. To samo Anglik (Duke of York). To samo Kanadyjczycy. I zapewne gdyby Maryśka-Ma-riola żyła, to byłaby dziś panią Marią P., awansowaną na brygadzystkę przez dyrektora Protasa, który stawia na młodych, bo tylko oni rozumieją wymagania nowoczesnego przemysłu i naszych europejskich partnerów.

A i sam ksiądz ledwie tę całą historię pamięta. Ale gdy tak sobie wspominamy, mówi o niej z rozrzewnieniem. Taki był młody, tak bardzo ludziom potrzebny jeszcze. A w każdym razie - tak bardzo wierzył, że jest im potrzebny.

Obaj z bratem często powtarzali sobie: właściwie mają wspólny cel - działalność na rzecz innych ludzi. Tyle że każdy z nich inaczej go realizuje. (Brat, który był bardzo pryncypialny, nie zapominał nigdy podkreślić w tym miejscu, że tylko on realizuje ich cele skutecznie).

Właściwie posprzeczali się tylko raz, w Grodkowie, pierwszej samodzielnej parafii księdza. Był działacz, który przyjechał, 'żeby rozejrzeć się za stosownym miejscem na ośrodek letni dla swojego za-ikładu, bo już nie był

działaczem wojewódzkiego szczebla, tylko związkowym, w zakładzie, postanowił przy okazji pójść na niedzielne kazanie. "Bóg jest miłością" - brzmiał temat i ksiądz mówił o miłości, dobroci i o ciepłe, tak potrzebnym, jak się wyraził, w naszym lodowaciejącym świecie.

Przykłady dawał wprost z życia: obojętna kolejka, która nie przepuszcza kobiety z dzieckiem na ręku... A działacz: "Może byłoby lepiej gdybyśmy w ogóle nie mieli kolejek? No, ale ja wiem - zakończył z goryczą -- od kolejek jesteśmy my. A ty :- od miłości..."

"Chcę po prostu, żeby ludzie byli dla siebie lepsi" - powiedział ksiądz, a brat odparł, że ludzie są źli, gdy s.i biedni, inwokacje księdza zaś wydają mu się po prostu śmieszne.

Ze swa j strony były działacz zajmował się z zapalem sprawą wczasów. Jako aktywista związkowy lubił powtarzać, że dopiero teraz rozumie, jak ważna to dziedzina - wczasy i sport. (Dawniej, musi przyznać, wydawało mu się, że to zajęcie raczej dla mniej wyrobionych towarzyszy). O, brat umiał znajdować w każdej pracy sens i wcale nie uważał, że tylko na odpowiedzialnym stanowisku można być ludziom potrzebnym. Wcale nie.

Ksiądz mieszka w Prochownicy, bo nikt inny nie chciał tej parafii objąć.

Były działacz opiekuje się, jak mówiłam, drużyną koszykówki i może sporo czasu jej poświęcić, bo jest już szeregowym pracownikiem Spółdzielni "Zryw".

Obaj postarzelili się. Były działacz dobiegł pięćdziesiątki, ksiądz ma czterdzieści parę. Ze zdrowiem nie jest najlepiej: działacz ma wrzód na dwunastnicy,

139

138

a ksiądz cukrzycę. I obaj - jakby przygaśli odrobinę.

W ubiegłym roku ksiądz zwierzył się bratu, że chętnie by wziął dłuższy zdrowotny urlop, przynajmniej na rok, gdyby miał z czego żyć w tym okresie. Ale nie ma, bo nie odłożył nic. Na co były działacz doradził mu, żeby się rozejrzał wokół i popatrzył na innych. I ksiądz rozejrzał się. Rzeczywiście, radzili sobie lepiej. Jeden kolega, na przykład, kupił we Włoszech intencje mszalne. Jest to zwyczajowa forma koleżeńskiej pomocy. Włoscy księża przekazują polskim kolegom zamówienia na mszę, wraz z honorariami naturalnie, a Polacy modlą się potem w Polsce za Włochów. Modlą się zresztą sumiennie, jedna msza - jeden Włoch, nie więcej, i wpisują do specjalnej książki każdą intencję. Włosi płacą po 4-5 dolarów, więc za pięć mszy tu można już przeżyć jeden dzień tam.

Ale czy taki człowiek jak ksiądz nabiera tych intencji dość, żeby sobie choć głupi zegarek kupić? A jak już nawet uezbiera, to i tak zaraz okazuje się, że go nabrano, że tylko tarcza jest od doxy, a w środku stary gruchot. Dwadzieścia intencji poszło na marne więc, a porządny zegarek marki poliot kupił sobie dopiero we Wrocławiu.

- Do interesów trzeba mieć głowę - orzekł brat. - To nie jest przedsięwzięcie dla takiej niezguły.

Nikt nie chciał przyjść do Proehownicy, bo już sama kronika parafialna odstraszała wszystkich.

Kromka informowała na przykład, że ksiądz Rydz po paru latach pracy wyjechał z tutejszej plebanii w nocy, bez pożegnania się. Że - jak notował następca księdza Rydza ksiądz Prosnak - "tydzień

miłosierdzia pod hasłem «Pomóż utrudzonej matce» nie dał pożądaných rezultatów, bo młodzież siedziała w kawiarni", a 16 czerwca 1970 roku niektórzy korzystali z misji, "a obojętni, wiadomi Księdzu Proboszczowi, wzgardzili chrystusowym miłosierdziem urządzając w parku orgię w biały dzień".

Prochownica należała do ksiąząt pszczyńskich, po zagarnięciu Śląska przez Niemców - przemianowana na Klein Machoff.

Tysiąc mieszkańców.

Jeszcze w roku 1950 na 27 zagonów - 21 dzieci.

Pierwszy po wojnie Polak w Prochownicy Jan Ślimak, kolejarz, przyjmował pociągi z repatriantami. Nikt nie chciał wysiąść tutaj, ale kolejarze mieli rozkaz natychmiast odsyłać puste wagony z powrotem na wschód, Jan Ślimak miał już na sobie mundur, więc był władzą, zresztą jedyną we wsi, i powiedział: trzeba zostać ("tylko jedno co: że te ludzie ze wschodu były posłuszne"), i pozostali. Z kolei przybyli kawalerowie z centralnej Polski, zajęli domy i wyskoczyli jeszcze na parę dni w swoje strony po panienki.

Załatwiali dziury po pociskach tym, co mieli pod ręką, więc cegłami z krematoryjnego komina obozu Machoff. Część baraków z obozu posłużyła za szopy i obórki. I zaorali pola.

Kiedy ksiądz objął tę parafię, przed dwoma laty, zaczął pierwsze kazanie tak: - Kocham ludzi ze wschodu, bo są dobrzy... - W tym miejscu Bodnaruki, Głuszczeni i Franczak (najbogatszy, bo zawsze wierzył w trwałość granic i gdy w latach pięćdziesiątych niektórzy wyprzedawali się, to on kupował) uśmiechnęli się z zadowoleniem: ksiądz rozumie, że jak chce być z Prochownica w zgodzie, to musi być w zgodzie z nimi.

- A ludzi z Polski centralnej kocham, bo sam

140

141

jestem stamtąd - kontynuował ksiądz i tu wszyscy zrozumieli, że miał bardzo dobre wejście. Wprawdzie bowiem nie ma już dawnych podziałów i ludzie żenią się między sobą, ale zawsze trzeba pamiętać o sprawiedliwym wyważeniu. Jest to chłopsko-robotnicza wieś.

Ludzie pracują w papierni, podkładach kolejowych lub w narzędziach rolniczych. W miejscowym kamieniołomie niechętnie, bo kamień żre człowieka.

Starsi mało kupują, odkładają wszystko. A młodzi zakładają rodziny - to oni właśnie przywieźli do wsi pierwsze telewizory, ostatnio zaś dywany pierwsze, nawet z importu. A gdy już kupią taki dywan, zaczynają porównywać go z sąsiedzkim, czy aby tamten nie jest większy lub .z włosiem wyższym. Jeśli zaś jest, to obiecują sobie, że za rok też kupią taki, co mówię - taki, jeszcze bardziej puszysty oczywiście.

Ksiądz zauważa od razu, gdy ktoś zaczyna oszczędzać, bo z miejsca daje mniej na tacę. Przestaje też zapraszać gości i sam nigdzie nie chodzi. W ogóle - robi się drażliwy i jakiś skory do waśni. Jan Ślimak mówi, że plotki i zawiść zaczynają się wtedy, kiedy ma się już coś i kiedy to coś porównuje się z cudzym. Bo kiedy nikt nic nie ma, to o co się kłócić?

Na przykład powojenne swary zaczęły się dopiero w 1947 roku - jak UNRRA przysłała pierwsze konie.

- No, więc ludziom żyje się coraz lepiej - konkluduje ksiądz.

- A to jest przecież to, o co wam zawsze, księdzu i bratu, chodziło - mówię. - Nieprawdaż?

Ksiądz, podobnie jak w Grodkowie czy w Żaga-rach, pomaga najuboższym rodzinom we wsi. Co miesiąc daje im pieniądze lub żywność, ale tu, w Prochownicy, są to wyłącznie rodziny zaniedbane, porzucone przez ojców pijaków, jednym słowem -

margines. Normalnym przeciętnym rodzinom jego pomoc już nie jest, jak kiedyś, potrzebna.

Ba, normalni przeciętni ludzie w ogóle oczekują od księdza czego innego dzisiaj. Nie obietnic nieba, tylko konkretów na ziemi.

Ksiądz na przykład ma czterech ministrantów, starszych chłopców - po szesnaście, siedemnaście lat, z których wieść trochę się podśmiewała. Bo i któż w tym wieku, 'zwłaszcza zarabiając 3 tysiące w Zakładzie Energetycznym, bawi się w takie rzeczy?

Wtedy ksiądz zabrał wszystkich czterech ministrantów na swój koszt do Bułgarii i żarty przycichły natychmiast.

Wycieczka zagraniczna - o, to już było coś. To mieściło się w nowych hierarchiach wartości wsi Prochownica. Już nawet zaczęli się zgłaszać inni chłopcy, gotowi służyć do mszy i jechać do Bułgarii, ale ksiądz publicznie oświadczył, że za wycieczki ministrantów kupował nie będzie.

- Czy to jednak nie jest jakieś przekupstwo? - zapytałam księdza.

- Nie - odparł. - Dbam tylko o prestiż Kościoła. A czym się dzisiaj w takiej wsi prestiż zyskuje?

Zapytałam jeszcze, czemu właściwie zawdzięcza swoją popularność tutaj mimo niepowodzeń poprzedników.

Wyjaśnił:

- Potrafiłem się dostosować. Robię to, czego ludzie oczekują ode mnie. Na dwadzieścia jeden ślubów udzielonych ostatnio miałem dwadzieścia jeden panien z odstającymi brzuchami. Mój poprzednik kazał w takiej sytuacji zdejmować welon i sam zrywał wianki z głów. A ja nie. Ja spokojnie udzielam sakramentu małżeństwa i nawet dziewictwo błogosławię. Mój poprzednik przestrzegał rygorystycznie

142

143

trzymiesięcznego okresu narzeczeństwa i inaczej nie przyjmował na zapowiedzi. A ja przyjmuję.

Ja i modłę się znacznie szybciej. On potrafił i po dwie godziny celebrować mszę (kto dziś wytrzyma takie tempo?), a ja doszedłem już do dwudziestu trzech minut i chyba do siedemnastu dojdę. Czy ja robię co złego? - pyta ksiądz.

- Odwrotnie - mówię. - Nareszcie ksiądz daje dowody jakiegoś realizmu. Najwyższa pora.

- Dla Kościoła to robię. Mój rygorystyczny poprzednik nie miał już do kogo wygłaszać swoich kazań, a ja mam zawsze kościół pełny.

- Naprawdę cieszę się. Żebyż jeszcze i trochę pieniędzy teraz...

- A wie pani co? - mówi mi na to ksiądz. - Brat zaczyna domek budować.

Podmurówikę już ma, eternit ma, zdobył tysiąc sztuk cegły dziurawki, mówi, że gdyby tak jeszcze silikatowej trochę...

- No - oddycham z ulgą. - Nareszcie...

"Obywatelu, szanuj miejsce męczeństwa narodów" - głosi napis u wejścia do obozu zagłady w Klein Machoff.

Pani Jarosińska, żona opiekuna obozu i byłego więźnia (z ośmiuset przeznaczonych na rozstrzelanie w Brzasku koło Skarżyska zamordowano siedemset dziewięćdziesiąt osób. Z dziesięciu ocalałych w Brzasku - osiem zginęło w Sachsenhausen. Dwie osoby ocalałe w Sachsenhausen przewieziono tutaj i z tych dwóch ocalał jeden człowiek: Edward Jarosiński), otóż żona pana Edwarda opowiada, że pod tą oto czereśnią, na ławeczce, siadywał dla wytchnienia komendant obozu i patrzył, czy prochy z krematorium usypują się równo.

Po wojnie prochy te przenieśli mieszkańcy Pro-chownicy i okolicznych wsi w czynnie społecznym do wzniesionego tu pomnika-mauzoleum.

- Łopatami i naczyniami przenosili - mówi pa Jarosińska. - Czy to, myśli pani, dużo tego popio jest po dwunastu tysiącach? To się przeniesie r dwa. Niedawno znalezione szczątki osiemdziesiąt jeden więźniów zmieściły się w dziewięciu trurnach, a tamci przecież byli już spaleni.

- Czy zauważyła pani może - mówi pod czer śnią ksiądz - że z wiekiem człowiek zadaje sob coraz mniej pytań? Jakaż bowiem może być odp< wiedź na pytanie: dlaczego Bóg dopuścił do obozów skoro nieskończony jest jego miłosierdzie?... O, wier Można odpowiedzieć, że chciał nas doświadczyć Można - i o wolności, która dał ludziom. Ja też ta właśnie innym mówię. Co do mnie jednak, to ; już tego pytania sobie nie zadaję. Ja już w ogół staram się mieć coraz mniej pytań.

144

10 - Sześć odcieni.

SUKIENKA Z DŻINSU

ZA 240 SZWEDZKICH KORON

Na Rudzie kobiety wieszają pranie między drzewami, dzień dobry, panie Jacku, mówią, i patrzą, komu też pan Jacek otwiera kłódkę swojej ubikacji w podwórzu. W kiosku przy pętli: dzień dobry, panie Jacku... Na pętli pusto. Za późno na jazdę do pracy, za wcześnie na powrót. Za to dwa razy w roku pętla na Rudzie jest najludniejszym miejscem w całej Łodzi. Raz, jak pielgrzymi idą do Częstochowy, a drugi raz, jak wracają. Do tego miejsca bowiem, ściślej zaś do łączki przy domu, w którym mieszka pan Jacek, odprowadzają ich krewni i później na tej samej łączce witają w drodze powrotnej. Wszyscy rozsiadają się wtedy na trawie, ksiądz opiera o drzewo krzyż, gospodyni wyciąga herbatę w kotłach, a milicja wstrzymuje ruch na Pabianickiej.

Opowiada, jak przyjechali do Sztokholmu.

Przyjechali promem, z samego rana. Wyszli - bez adresów, bez pracy i ze stu dwudziestoma dolarami na każdego. Jeden został przy gratach, a dwóch poszło szukać noclegu. Szukali cały dzień, zrobiło się już ciemno, nie było gdzie iść, i wtedy któryś sobie przypomniał, że mieszka tu jeden Żyd z Łodzi. Znaleźli telefon w książce i pojechali. - Przed wojną mieszkało ich dużo na Rudzie, ale zginęli i ja jeszcze nigdy w życiu Żyda nie widziałem. Byłem go cholernie ciekaw, ale niech pani sobie

146

wyobrazi, okazał się całkiem sympatyczny. Pozwolił im spać, powiedział, w którym kiosku są najtańsze papierosy, i poradził, żeby w ogóle gotowych nie kupować, tylko taką maszynkę, bibułki i tytoń i robić samemu. Po tytoń najlepiej jeździć na pobliską wyspę fińską raz w tygodniu, to wtedy papierosy wypadają po pół ceny.

Nazajutrz zaczęli szukać pracy.

Dzień w dzień, od dziewiątej rano do siódmej po południu szukali pracy. Chodzili po warsztatach, sklepach, biurach, fabrykach, portach - nigdzie nie było nic. Czasem spotykali grupki innych chłopaków z Polski - wracali stamtąd, gdzie oni akurat szli i mówili "tam nic nie ma". A kiedy indziej to oni wracali stamtąd, gdzie inni szli, i ich zawracali. Któregoś dnia pojechali za Sztokholm zobaczyć, czy w szklarniach czegoś nie będzie, i w drodze powrotnej znaleźli torbę z filmami porno. Było tam trzydzieści filmów, wzięli je do jednego Polaka, który miał aparat, i puszczała sobie przez całą noc. Gospodarz nastawił płytę i oglądali wszystko przy koncercie Joaquina Rodriga na gitarę z orkiestrą. Czego w tych filmach nie było! Dziewczyny żółte i czarne, i białe, i faceci z facetami, i dziewczyny ze zwierzakami, no mówię pani, coś niesamowitego, jedna to po prostu z królikiem, oglądali do piątej rano, ale • już nie warto się było kłaść, bo była niedziela, więc musieli iść do kościoła na ósmą. Zresztą Andrzej; i on nie poszli, bo jakoś nie wypadało po takich świątkach, ale tamci powiedzieli, że się wypowiadają.

Już byli dwa tygodnie w Sztokholmie, a pracy nic było.



Odłożyli sobie po trzydzieści dolarów na bilet powrotny, więc .mieli po dziewięćdziesiąt. Potem wy> dali po dwadzieścia dolarów na bilet miesięczny d< 14

metra i po dolarze na zdjęcie do biletu, więc mieli już po sześćdziesiąt dziewięć. Starali się jak najmniej jeść - jedną zupę z torebki i dwa banany na dzień, ale i tak forsa szła potwornie. Codziennie odpływały promy do Polski załadowane ludźmi, którzy nie znaleźli pracy - odbywał się tam wielki handel, za pół ceny można było kupić niewykorzystany bilet miesięczny albo polskie zupy błyskawiczne - ale on nie mógł się załamać. Obiecał Bożenie, że kupi jej porządną sukienkę z džinsu.

Tu, na Rudzie, ludzie są wyjątkowo fajni. Ci z centrum nie lubią Rudy, zwłaszcza wieczorem, i faktem jest, że co drugi chłopak, z którymi chodził do podstawówki, jest już po wyroku, ale on w gruncie rzeczy woli ich niż kolegów z uniwersytetu. Kiedy idzie ulicą z chłopakiem stąd i ktoś ich zaczepi, to wie, że obaj solidarnie będą się bić, a jak idzie z kimś ze studiów, to nigdy nie jest pewny, czy w razie czego tamten nie zostawi go i nie nawieje.

Tu, na Rudzie, jest w ogóle wszystko prawdziwsze.

Studenci z inteligentkich rodzin piszą w ankietach na temat studiów: "przygoda intelektualna". Jemu coś podobnego nigdy nie przyszłoby na myśl. On napisał: "zdobynam zawód".

Ale Bożena nie lubiła Rudy. Nie chciała chodzić nad Jasień, bo ludzie siadają tam z winkiem i pokrzykują do siebie z jednego brzegu na drugi. Uważała, że to pijacy i mówią za głośno.

Nie lubiła też parku Wenecja, zwłaszcza odkąd znaleziono tam w szalecie mężczyznę z pilnikiem w sercu.

W ogóle nie lubiła spacerować z nim po ulicy, zwłaszcza jak zakładała pantofle na obcasie, bo była wtedy trochę wyższa od niego. I mimo wszystko było im pierwszorzędnym razem. Kupowali butelkę rizlinga i przyjeżdżali do niego na Rudę, bo rodzice

już przenieśli się do bloków i mieszkał sam. Albo przyjeżdżali do niego bez butelki rizlinga.

Kiedyś przed samym sylwestrem pokłócili się i już myślał, że nie przyjdzie, ale przyszła, wieczorem, w bluzce bez pleców z PKO i z balonikiem w ręku Tylko się za bardzo umalowała, powiedział więc "umyj się". Umyła twarz i wtedy pozwolił jej się podmalować, skoro tak bardzo chce, byle nie ZE mocno.

Pozwalał jej na wiele rzeczy.

Pytała, czy może iść do kina albo na imprezę dc koleżanki, mówił - "proszę bardzo, idź". Jak szł na imprezę razem, to mogła tańczyć z innymi chłopakami, zawsze przy tym ubierała się w to, co sama chciała.

Pozwalał jej zatem na o wiele więcej niż na przykład jego ojciec pozwalał ich matce, tylko że Bożena była rozpieszczona i nie doceniała tego. Matks Bożeny miała niepełne wyższe wykształcenie, a ojciec był delegatem na zjazd i pisali o nim w gazetach, poza tym ona miała zwolnioną pracę serca czterdzieści osiem uderzeń na minutę, rodzice trzęśli: się nad nią i pozwalali na wszystko.

Jego ojciec (pracuje na składalni w Obrońcacr. Pokoju, gdzie mierzy, tnie i metkuje towar) nie lubił w domu zbędnych dyskusji. Wydawał im rzeczowe polecenia: "ty kupisz chleb, ty pozmywasz obaj posprzątajcie pokój" i z mamą uzgadniali, cc kupią im z ubrania na Wielkanoc. Tylko dwa razy do roku obsprawiali się: w ciepłe rzeczy przeciw Gwiazdką, a przed Wielkanocą w letnie, żeby w pierwsze święto rano móc już wyjść w tym nowym do kościoła i na spacer. Na przedzie szedł on z bratem, za nimi rodzice, w tłumie sąsiadów z Rudy, tei ubranych we wszystko nowe, z którymi wymieniał-

ukłony i szli w stronę łąk albo Aleją Politechniki do parku.

Dopiero później, po wielu prośbach, ojciec zgodził się na to, żeby mogli sobie wybierać ubrania kupowane na święta, a jak skończył osiemnaście lat, wywalczył sobie prawo do noszenia kompletów z džinsu.

Pracę dostali w ostatnim tygodniu. Polegała na zbieraniu truskawek na wyspie Visingso sto kilometrów od Sztokholmu. Mieli już wtedy po trzydzieści dolarów na powrót-i po pół litra, jak im będzie zupełnie smutno, i praca ta wydała im się po prostu cudem. Za jedną kobiałkę dostawali po koronie. Inni pracownicy zbierali dziennie po siedemdziesiąt kobiałek, ale oni z miejsca poszli na całość i już pierwszego dnia pobili rekord pola: sto trzydzieści pięć kobiałek. Szybko połapali się, w czym rzecz: nie trzeba kucać, tylko na czworakach przesuwać się, rwać dwiema rękami, a przede wszystkim nie robić najmniejszych przerw, nawet na bułki wystawiane przez bossa na drugie śniadanie za darmo.

Właściwie było im niezłe: jedzenie tanio, nocleg darmo, do pracy wozili ich hondami, a szef pierwszy miał dzień dobry rano, bo u nich tak jest, że szef pierwszy potrafi powiedzieć dzień dobry. Tylko że nikt się nikim kompletnie nie interesował. Żaden Szwed nie zapytał ich nigdy o nic - o rodzinę, o studia albo jak im się wiedzie w życiu. U nich na Rudzie byłoby to nie do pomyślenia, więc na wyspie Visingso czuli się bardzo samotni.

Po południu robili wycieczki po okolicy. Tamci dwaj mogli robić wycieczki, bo wszystkie pieniądze musieli zabrać do kraju i mieli czas, on jednak chciał kupić coś dla Bożeny, więc nie miał czasu na głupstwa: należało zorientować się dokładnie w zaopatrzeniu sklepów i relacji cen.

150

Wieczorem informował ich: tiffany są po trzydzieści dolarów, wranglery po czterdzieści dwa, w dodatku nic specjalnego, bez kieszeni z tyłu, za te pieniądze można dostać w PKO dwie pary, chyba nie kupi spodni.

Albo: widziałem sukienkę. Dżins, a uszyta jak indyjska. Z boku frędzle, na górze kwiaty z paciorków, może być?

Chodzili obejrzyć sukienkę w indyjskim stylu, mówili, że może być, ale on mówił - nie, nie będzie jej dobrze. Ona ma wyjątkowo długie nogi, więc sukienka musi być krótsza.

Nazajutrz znajdował sukienkę za sześćdziesiąt dolarów. Mówili mu - nie wygłupiaj się, to jest butik, kto kupuje w takim miejscu, ale on odpowiadał, że ona ma figurę dosłownie jak modelka i musi się odpowiednio ubrać. Zresztą sukienki z butiku też nie kupił, bo znalazł lepszą: dżinsową, ale lamowaną kratką, do tego z tej samej kratki bluzka, do tego mała torebeczka na szyję - no tak, to już było coś odpowiedniego dla Bożeny.

Kiedy nie mówił im o sukienkach z džinsu, które chciałby Bożenie kupić, opowiadał o różnych innych rzeczach związanych z Bożeną. Na przykład - jak kiedyś pojechali do Soczewki na obóz. Był to co prawda obóz dla aktywu, ale on zna ludzi, więc dali im nawet oddzielny pokój, tyle że wygłosił pogadankę na temat współczesnych burżuazyjnych teorii o przyszłości kapitalizmu. Wieczorem, kiedy kładli się spać, myślał jeszcze o tej Soczewce: jaki był wtedy mróz i jak łazili wieczorem po zamrażonym jeziorze.

Wrócił przez Ystaad.

W Swarzędzu złapał okazję i tak się złożyło, że facet jechał akurat przez Miasteczko, w którym mieszkała Bożena.

15:

Nie było jej w domu. Ojciec rozpytywał go o sytuację kryzysową w Szwecji, matka dała jeść, Bożena przyszła po północy. Wręczył jej sukienkę w takiej fajnej foliowej torbie. Do tego jeszcze kilka foliowych toreb, zapalniczkę i mydełko.

Sukienka była w sam raz. Bożena przymierzyła ją i powiedziała, że mu zwróci pieniądze. Potem odprowadziła go na pociąg i powiedziała, że w liście napisze o wszystkim.

Po paru dniach przyszedł list, pisała, że zakochała się w jednym chłopaku, ale żeby się jeszcze nie martwił. Ona przypuszcza, że to nie potrwa długo, po wakacjach skończy z tamtym i wróci do niego.

Poszedł się wtedy przejść, spotkał kolegów i kupili sobie coś do picia. Trochę pieniędzy dał rodzicom na meble, ale niewiele, starczyło na zestaw Kozienice, w którym jest także miejsce na barek, więc ojciec kupił butelkę wódki i trzyma, jakby kto przyszedł. Nigdy tego przedtem nie robił, zresztą nadal nie przychodzi do nich nikt poza rodziną, a i to tylko w drugie święto.

Forsa już mu stopniała, chociaż w ich kawiarni nie jest drogo, łódzki fuli kosztuje dziewięć, a ponieważ znają go, nie biorą zastawu ani konsumpcji. Bardzo fajna jest ta kawiarnia.

Raz jeden chłopak założył się, że jak ŁKS przegra z Widzewem, to się położy na środku i wszyscy będą mogli po nim przejść, a on będzie krzyczał, że jest perski dywan. Faktycznie ŁKS przegrał trzy jeden i chłopak leżał na podłodze kilka godzin, a wszyscy przechodzili. Gdzie indziej byłoby to niemożliwe, a tu sam kierownik lokalu pękał ze śmiechu.

W ogóle ciekawe rzeczy ludzie robią. Jeden chłopiec stanął przy wejściu do domu towarowego, podawał wszystkim rękę i pobił w tym rekord świata: dwanaście tysięcy pięćset uścisków.. Poprzedni re-

kord należał do jakiegoś Amerykanina i wynosił jedenaście tysięcy sto dwadzieścia sześć, ale teraz rekordzistą świata jest już chłopak z Łodzi. Niedawno były urodziny Bożeny. Poszedł do akademika, bo wypadało w końcu złożyć życzenia; powiedziała mu, żeby lepiej wziął się w garść, bo coraz częściej widują go zalanego.

Ma jeszcze trochę rzeczy u Bożeny: sweter, parę koszul, czapkę zimową, bo zawsze lubiła chodzić w jego ciuchach i do tej pory mu nie zwróciła. Mniejsza już o tamtą sukienkę z džinsu, ale czapka była nowa, futrzana i powinna chyba ją oddać, tak przynajmniej uważa jego matka.

152

"STABAT MATER"

Kupią rybkę dla kota, kaszankę dla psa.

- A dla nas?

- Przecież mamy jeszcze marynowane grzyby i wędzony boczek z zeszłego roku. Będą musieli iść szybciej. Trzeba zdążyć, zanim temperatura w pokoju spadnie poniżej ośmiu. Potem już bardzo nieprzyjemnie się myć, ale gdy raz położą się bez mycia, to nazajutrz znajdą znowu jakiś pretekst. Nie o higienę chodzi już, lecz o zachowanie godności.

W pokoju jest najcieplej. W całym mieszkaniu - minus dwa; nie ma niektórych szyb i balkon się nie zamyka. Na ogrzanie trzeba przez zimę szesnaście ton koksu po pięćset złotych tona, osiem tysięcy, zabawne.

Na maszynce elektrycznej postawią wodę. Maszynka się zepsuje. To nic, w "kocie" będzie jeszcze trochę żaru. Położą się na materacu na podłodze. Wcale od dołu nie będzie ciągnąć tak bardzo. Trochę wieje od dziury w ścianie, ale się zatka. Termoфор z gorącą wodą każdy dostanie na zmianę, bez szachrajstw.

On powie: - I pomyśleć, że za sto mililitrów krwi kupilibyśmy piętnaście ton koksu. Ma bowiem - co przypadkiem odkryto - jakąś nadzwyczajną krew, jeden tylko gość w Polsce miał taką, ale okazał się narkomanem. Kiedy człowiekowi z podobną krwią

154

wstrzyknie się specjalny preparat, zaczyna wytwarzać przeciwciała. Na te przeciwciała właśnie - po-| wiedzieli w Instytucie Immunologii we Wrocławiu - ceny w ogóle nie ma. Mógłby dostać nawet sto złotych za jeden mililitr. A to znaczy - za sto mililitrów 10 tysięcy. Akurat na koks i jeszcze dwa tysiące by zostało. Za dwieście mililitrów mogliby zapłacić pierwszą ratę, gdyby chcieli kupić podupadłe gospodarstwo. A za sześćset - mieliby do tego gospodarstwa używany ciągnik. Nawet mogliby to pobrać mu od razu.

- Ee, nikt ci nie pobierze na raz tyle.

- A jak sam zażadam?

A conto pierwszego upustu krwi już nawet zrobili małą uroczystość, ale okazało się w końcu, że nie ma takiego, który odważy się wstrzyknąć mu preparat. Po prostu - gdyby jemu samemu potrzebna była transfuzja, żadna krew już by się nie nadawała prócz własnej. Nalegał mimo to, ale pani docent nie znalazła odpowiedniego przepisu i 10 tysięcy, a może więcej, przeleciało im koło nosa przez zwykłą biurokrację.

Wleje wodę do termofora i poklepie go, żeby wypuścić parę.

- Nie jest tak źle - powie. - Jest w każdym razie lepiej niż było we Wrocławiu na tych stu metrach kwadratowych.

- Na stu dwudziestu - ona poprawi. - Oczywiście, że nie jest źle, trudno doprawdy zrozumieć, co ludzi w tym mieście trzyma.

- Iluzje - wyjaśni jej. - Stworzyli sobie iluzje posiadania czegoś i bronią tego tak drapieżnie. Mają mieszkanie i nadzieję, że zapłacą wkrótce ostatnią ratę za samochód. A jak dobrze pójdzie, to pojedą do Jugosławii i tylko boją się, że Malinowski ich wygryzie, bo czyha na stanowisko, a to mogłoby zagro-

155

zić ostatniej racie. Wobec tego zawczasu sami Malinowskiego likwidują.

- Problemy duchowe zniknęły z naszego życia. Pozostał już tylko problem strachu - konkluduje za Faulknerem.

Ona będzie w tym czasie sprzątała resztę rybek kota, a kawałek kaszanki zabierze psu i zje sama. Przyświadczy .mężowi, że istotnie spliny przesytu na razie im nie grożą i że, być może, to jest nawet ich szczęście. Kolega jeden był na Syberii i co zarzucił wędkę, to trafiał się łosoś, co zarzucił, to łosoś, to już nie było łowienie ryb, to była zwykła praca fizyczna pozbawiona radości. Radość kończy się ze spełnieniem.

Jego próby zreperowania maszynki elektrycznej nie powiodą się. Wyciągnie się więc na materacu, zasłoniwszy się przedtem paltem z dwóch stron w sposób wypróbowany: lewym rękawem od strony drzwi, za którymi jest otwarty balkon, a prawym od dziury w ścianie.

Jutro będą musieli zapytać o pracę w kolejnym PGR. Ona włoży do torebki dyplomy, jego - magistra praw i swój - inżyniera rolnika. Przecież czytali, że w rolnictwie potrzeba wykwalifikowanych kadr i nie po to zostawili 120 metrów kwadratowych wrocławskiej willi oraz ofertę pracy w katedrze WSR, by teraz załamywać się i to takimi głupstwami, jak brak pieniędzy, pracy i domu.

Wiedzą oczywiście, że w końcu pracę znajdą. Ona będzie zapewne agronomem, on - urzędnikiem w gromadzkiej radzie. Ale to nie będzie miało większego znaczenia. Najważniejsze bowiem musi być ich codzienne życie na oczach wsi.

Jeśli chcą tę wieś zmienić, muszą zacząć od rzeczy powszednich. Zrozumieli już, że nowoczesności w rolnictwie nie wprowadzą ludzie zacofani. Ludzie,

którzy tylko ciężko harują, szybko jedzą, krótko i w ubraniu śpią i nie poświęcają ani minuty lekturze.

Trzeba więc będzie od nich zacząć. Ale nie pogadankami, o nie. Wyłącznie - osobistym przykładem. Kiedy byli w Drawnie na stażu przez rok, ludzie zbierali się pod ich domem i przyglądali z rozbawieniem, jak wietrzą zimą mieszkanie.

Wszystko w ogóle śmieszyło ich, a już najbardziej jego broda i jej długie kolorowe kamizele. Najważniejsze jest w takich wypadkach, by nie zrezygnować z niczego pod presją tego śmiechu. Kiedy bowiem okazało się, że najlepsze ogórki w całej wsi urosły w jej ogrodzie i kiedy w marcu - a był jeszcze mróz - skoczyła do jeziora, by ratować tonącą dziewczynkę, to nie tylko przestali się z kamizeli śmiać, ale jeszcze zwieźli jej dwadzieścia taczek prawdziwego nawozu w prezencie.

Ba, doszło do tego przecież, że kłaniał im się pierwszy sam pan Bolkowski, który zębami podnosił nakryty stolik w gospodzie i płacił cztery tysiące za szldo. Zaś dziadek Zieliński przychodził do niej w zaufaniu spytać, jak z tą Ziemią wreszcie jest, bo mówią, że okrągła. (Był w nim wstyd, że nie wierzy, i nadzieja, że ona wreszcie przyzna mu rację). I te dwadzieścia taczek nawozu, zaufanie dziadka Ziellińskiego i najładniejsze ogórki w całej wsi były dla nich potwierdzeniem trafności wyboru, z którego czerpali otuchę.

Tak więc nie będą z niczego rezygnowali. On będzie nosił brodę nadal, a ona do tej długiej kamizelki jeszcze i pumpy.

W niedzielę nie pójda do kościoła. Nie ubiorą się odświętnie, nie wyruszą na spacer. A pierwsze pieniądze przeznacza na łazienkę ku uciechu wsi.

W swoim prywatnym gospodarstwie pracować będą najwyżej do siedemnastej, dzieląc wyraźnie dzień

157

156

na pracę i odpoczynek, I będzie to już to, o co w ogóle chodzi w życiu: czas na książki, które f h ca czytać, ludzi, których zechcą zaprosić, i na muzykę. Będą słuchali Bacha oraz Pergolesiego "Stabat Ma-ter". To wczesny włoski barok, a nie ma nir większego niż barok w muzyce.

Ona nie zostanie aktywistką koła gospodyń, to nie ma sensu. Musi służyć chłopom fachową radą jako rolnik. Z początku będzie krępowało przyjmowanie rad od kobiety, ale kiedy zobaczą jej ogórki i jej czosnek (z którego zresztą pisała pracę magisterską), zaczną się do tych wskazówek sumiennie stosować.

Wtedy .dopiero powie im, jak sobie wyobraża rolnictwo naprawdę nowoczesne.

Przychodzi rolnik do agronoma. Mówi mu, co chciałby mieć. A agronom wszystko oblicza, opracowuje sam - i przedstawia gotowy plan działania. Rolnik przyjmuje ten plan z zaufaniem, choć od fachowca często młodszego od siebie, i realizuje precyzyjnie.

Tak mniej więcej zorganizowane jest duńskie czy holenderskie rolnictwo i oni postarają się wprowadzić podobne metody w swojej wsi.

-- Czy wiesz, jakie były ostatnie słowa Chrystusa? - on się oderwie od lektury na moment, a ona odpowie mu:

- Nie rozbieraj się pod kołdrą - bowiem, podobnie jak codzienne mycie, stało się to dla niej kwestią wierności sobie.

- Panie, spraw, byrn nie był ośmieszony na wieki.

- Naprawdę? - zdziwi się bez większego zainteresowania jednak, ponieważ zarysuje się przed nią realna groźba wyjścia na dwór. (Przyrzekła sobie od początku nie używać do tego celu w mieszkaniu ' )

wiadra). - Czy jesteś zupełnie pewien, że ta maszynka już nigdy nie będzie się palić?

- Sam się właśnie zastanawiam nad tym. Ale czy wiesz, co by to znaczyło? Że w ostatnich chwilach życia myślał o sobie. Bo cóż to jest strach przed ośmieszeniem? To próżność. Słuchaj. A może On to wszystko z próżności zrobił? Byłaby to dla ludzi spora pociecha...

Kiedy wyjdzie na podwórko, stwierdzi z ulgą, że nie tylko zelżał mróz, lecz jest nawet cieplej niż w mieszkaniu. Postoi więc chwilę, żeby się ogrzać, i wróci w

dobrym nastroju. Tak dobrym, że zacznie mówić coś o podupadłym gospodarstwie, które w przyszłości kupią na raty. (Prof. Manteuffel twierdzi, że kto sam nie prowadził gospodarstwa, prawdziwym rolnikiem nigdy nie będzie). Kiedy zaś przyjdzie jej kolej do termoforu, zdziwi się jeszcze raz, że ludzie dobrowolnie skazują się na miasto. Na te marzenia płaskie, ambicje niszczące i niewybredne intrygi. A tak skutecznie mogliby schronić się wśród parowów i zalesionych pagórków, które zaczynają się tuż za Sikorami. Mój autobus ruszy, zawróca w stronę wsi. Nie będziemy wiedzieli jeszcze, że następnym razem, po latach, spotkamy się w ich pięknym, wiejskim domu, nad Drawą - dookoła na horyzoncie rozciągnie się puszczka, sarny i jelenie będą podchodziły pod ich dom, a z kolumn głośnikowych płynąć będzie muzyka Pergolesiego. (Chłopak ten, Giovanni Battista Pergolesi, umarł mając dwadzieścia sześć lat i umierał od początku, od chwili, w której się urodził Jego muzyka jest stałym przeczuciem śmierci - powie, siedząc w living-roomie, obitym jasną, drewnianą boazerią, i doda, że na ich łące zbierają się do odlotu żurawie, które z daleka wyglądają jak pochylone kobiety, a wiosną na ich pole wracają).

158

159

Stodoła stanie wysoka na dziesięć metrów, z cudownym sklepieniem, o którym pomyślał zaraz, że jest to wnętrze dla strzelistej, polifonicznej muzyki -- Penderecefi albo Honegger.

Gospodarstwo ich będzie wzorowe: sto owiec i dziesięć hektarów traw. Chłopi obserwować będą bacznie ich poczynania i dowiedzą się, że kafelki w ich łazience są fioletowe, a ciągnik to jest typ C-355, i że na wiosnę chcą dokupić jeszcze pięćdziesiąt owiec, a zęby pani inżynier są prawdziwe, bo raz jedna kobieta wzięła ją pod brodę i sprawdziła.

Wieś potraktuje ich wyrozumiale: kiedy w grę wchodzi czterysta tysięcy kredytu i sto owiec, to nie ma już miejsca na żarty. Z pobłażaniem przyjmą więc i tę boazerię, i kominek, i jego brodę, i plecak, z którym chodzi po zakupy, bo z plecakiem chodzi, nie z siatką, i nawet sztruksowe spodnie, w których wystąpił, gdy wręczali mu dyplom na dożynkach. (Naczelnik gminy wspomni jeszcze, że do tych sztruksowych spodni nosił koszulę w kratkę, a na nią sweter. Naczelnik od razu zaznaczy tolerancyjnie, że absolutnie go nie raził ten strój, choć go oczywiście wszyscy zaraz zauważyli. Naczelnik dobrze wie, że to, co oni tutaj robią, to jest prawdziwa rewolucja we wsi, bo postęp w rolnictwie zależy przecież od specjalizacji, rozmachu i inwestowania, mówi więc o ich działalności z szacunkiem - stropi się tylko, gdy opowiem mu o kolumnach głośnikowych i o Pergolesim. Tamten więc pospieszy z wyjaśnieniem: - To barok. Wie pan, ja myślę, że nie ma w muzyce nic większego niż barok - i naczelnik szybko kiwnie głową. Sam woli co prawda Straussa, powiedzmy sobie, ale na pewno i barok jest bardzo przyjemny...).

Ale, jak mówię, o tym wszystkim nie wiedzą jeszcze nic wracając z przystanku PKS do tamtego,

pierwszego, zimnego domu. Wstąpią do dentystki, której mąż, akwizytor PZU, pisuje smutne wiersze, zawsze o śmierci i żółtych kwiatach, ale posiadzą tylko przez chwilę. Będą chcieli zdażyć, zanim temperatura w pokoju spadnie poniżej ośmiu stopni. I będą wierzyli, że podobne głupstwa nigdy nie pokonają ich, bo jakże mogliby przypuścić, że któregoś dnia, w tym jasnym living-roomie obitym boazerią, ona powie: "Słuchaj, ja nie mogę bez niego żyć" - i on odjedzie od owiec, puszczy i stodoły z cudownym sklepieniem, zabierając jednak trochę płyt, w tym, ma się rozumieć, Bacha i Giovanniego Batti-sty Pergolesiego "Stabat Mater".

## SPIS TREŚCI

Tematy do reportażu	5 !	Piękna żona sztygara	15	Spokojne
niedzielne popołudnie	25 l	Wiązanka ślubna...	32 l	Romans
provincjonalny	46 i	Miłość na Fabrycznym	52 '	Miłość za półtora
miliona	62 '	Milionerzy...	70	Wielka gra
Sześć odcieni bieli	99 j	Droga	114	"Hamlet"
Reaguje moje serce...	127 i	Coraz mniej pytań	136 '	Sukienka z
dżinsu...	146			
"Stabat Mater"	154			

"Czytelnik", Warszawa 1978. Wydanie I. Nakład 10 320. Ark. wyd. 6,5; ark. druk. 10,25. Papier druk. m./gł. 92X114, kl. IV, 65 g. Oddano do składania 1 VI 1977 r. Podpisano do druku 9. XII. 1977 r. Druk ul-:ońc2orio w styczniu 1978 r. Szczecińskie Zakłady Graficzne. Zam. wyd. 201; druk. 934/I/A. F-2S. Cena zł 15. Ptintcd in Poland.

stwem odbiorca sądzi, iż autorka tylko opowiedziała, zaś czytelnik sam przy użyciu własnej głowy nadał reportażowi sens znaczeniowy. Sprawy wielkie odbijają się u Krallówny w kropelce wody. Pozornie opowiada ona o drobiazgach, kameralnych wycinkach życia, ale pod jej ręką urastają one do rangi kardynaliów, są instrumentem poznania prawd pierwszej wagi. Osąd Krallówny jest zaznaczony wyłącznie poprzez misterne intonacje dialogów, zbitki obserwacji dające efekt paradoksu i przez przewrotny bieg narracji, będącej specjalnością tej z gruntu przewrotnej, na wskroś babskiej kobiety. Inni - przeciwnie, stwarzając barokowy pozór, że piszą o czymkolwiek, np. o fabryce, w rzeczywistości rozpisują się wyłącznie o sobie, świat mając za tło i scenerię własnego istnienia."  
(Jerzy Urban - "Impertynencje")